

Damian Stefańczyk to 25-letni twórca internetowy, który jest autorem podcastu Damian's Corner. Wpadł on na pomysł, aby przedstawiać edukacyjne treści w niespotykany do tej pory sposób. Przeprowadza wywiady z polskimi rozpoznawalnymi osobistościami po angielsku. Wywiad Julii Zygunt z podcasterem znajdziecie na następnej stronie!



Zdjęcie: flickr / Paolo Benegiamo

Filmy Paolo Sorrentino, włoskiego reżysera lubiącego się w realizmie magicznym, nie od dziś podbijają festiwale i czarują widzów z całego świata. Jego „Wielkie piękno”, uznawane za arcydzieło współczesnego kina Półwyspu Apenińskiego, pozwoliło na odkrycie przez szeroką publiczność zarówno lęków, jak i zachwytów, jakich doświadczył na swej drodze artysta. Ta oda do życia, młodości i nieubłaganego czasu, ustawiła poprzeczkę niezwykle wysoko. Czy „Bogini Partenope” udało się do niej zbliżyć?

2

8

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 115 | MARZEC 2025

Tradycja czy choroba?

Alkoholizm prześladowuje Polskę. Ten powszechnie znany termin odnosi się do choroby, jaką jest uzależnienie od alkoholu, natomiast w szerszym znaczeniu opisuje także jej następstwa. Nie tylko zdrowotne, ale również społeczne. W naszym kraju alkohol jest dostępny zarówno w marketach, mniejszych sklepach, jak i na stacjach benzynowych. Widzimy go niemal codziennie. Niełatwo jest więc „odciąć” się choćby od samego widoku butelek z mocnymi trunkami.



Zdjęcie: Flickr.com - Attribution-ShareAlike 2.0 Generic. Autor - Matt Lulik

W kulturze Polski alkohol postrzegany jest jako niezbędny element zabawy. Niesie jednak ze sobą wielkie koszty społeczne

W Polsce picie alkoholu stało się czymś na wzór tradycji narodowej. Ten zwyczaj został zapoczątkowany w okresie PRL-u, za czasów wszechobecnej ówczesnie kultury picia. W czasie rządów Edwarda Gierka znacznie wzrósł poziom spożycia alkoholu spowodowany licznymi problemami społecznymi. W 1981 roku spożycie trunków wynosiło średnio 12 litrów na głowę.

Czy popularność alkoholu stanowi jakąkolwiek podstawę do normalizowania jego spożycia? Na stronie jednego z producentów wódki zbożowej widnieje hasło: „Wódka jest symbolem polskiej kultury towarzyskiej i obyczajowej. Pozwala w radosny i pozytywny sposób podkreślić ważność uroczystości czy też spotkań towarzyskich”. Czy więc przyjmując takie założenie możemy nazwać miłośników procentów siedzących pod sklepami monopolowymi ludźmi kultury? Pomimo że taki „klasyczny” wizerunek alkohola dominuje w polskiej kulturze,

istnieje wiele osób, które są w stanie przy swoim nałogu relatywnie normalnie funkcjonować. Mowa o tzw. funkcjonujących alkoholikach. Społeczeństwo normalizuje ich chorobę, ponieważ osoby te są jeszcze w stanie wykonywać swoje obowiązki. O problemie alkoholizmu rozmawiamy z pedagogiem i specjalistą ds. profilaktyki uzależnień – Aleksandrem Szedlerem, który pracuje w jednej z poznańskich poradni psychologiczno-pedagogicznych.

Czy widzi pan tendencję wzrostową, jeśli chodzi o problem alkoholizmu w Polsce? Jeśli tak, czym według pana jest ona spowodowana?

– Nie wiemy ile dokładnie jest osób uzależnionych od alkoholu, szacunki mówią o przedziale między 700 a 900 tysięcy osób. Ze statystyk sprzedaży wiadomo natomiast, że spożycie alkoholu w ostatnich latach powoli wzrasta. Można zatem z dużym prawdopodobieństwem założyć, że problem alkoholizmu nie

– Myślę, że obecny system społeczno-gospodarczy nieuchronnie prowadzi do tego, że uzależnieni od alkoholu (oraz innych środków psychoaktywnych) są i będą. Zmniejszyć skalę problemu mogłoby choćby ograniczenie sprzedaży alkoholu, dofinansowywanie profilaktyki uzależnień, opieki psychologicznej i psychiatrycznej, oświaty, wzmacnianie prawa pracy i egzekwowanie go, a także programy mające na celu zmniejszanie nierówności dochodowych.

maleje. Przyczyn takiego stanu rzeczy może być wiele. Nadal istniejące ubóstwo, migracje zarówno do kraju, jak i wewnątrz niego – z miasta do miasta lub z mniejszych ośrodków do miast, które pozbawiają ludzi często naturalnej siatki społecznej, stanowiącej wsparcie. Epidemia samotności, permanentny stres, wywołany choćby natłokiem obowiązków, szybkością życia, stawianiem na pierwszym miejscu produktywności i wartości materialnej, niedofinansowanie opieki psychologicz-

nej i psychiatrycznej. Oczywiście poza powodami istniejącymi zawsze, takimi jak predyspozycje genetyczne, wysoką skłonnością do ryzyka, itp.

Co sądzi pan na temat skali dostępności alkoholu w Polsce (na przykład na stacjach benzynowych)? Czy ma to wpływ na nasilenie problemu alkoholizmu?

– Myślę, że obecnie alkohol jest zbyt łatwo dostępny, biorąc pod uwagę, jak silnie psychoaktywny jest to

środek. Jest on na ten moment na tyle silnie zakorzeniony w naszej kulturze, że nie da się go zakazać. Jednak jego obecność na stacjach benzynowych (przy jednoczesnym przestrzeganiu przed jazdą pod wpływem alkoholu w wielu kampaniach społecznych), często spotykane reklamy alkoholu czy pojawiające się ostatnio regularnie promocje na piwo typu 12+12, to moim zdaniem zbyt dużo. Służy to tylko i wyłącznie zyskom producentów napojów alkoholowych. Oczywiście dostępność alkoholu w jakimś stopniu wpływa na liczbę osób uzależnionych od alkoholu, nie jest to jednak decydujący czynnik. Wpływa na pewno ona na spożycie, co przekłada się na skutki dla społeczeństwa. W Krakowie zakaz sprzedaży alkoholu od 24 do 05:30 spowodował zmniejszenie liczby interwencji policji o 48,5%, straży miejskiej o 31%, a liczba wykroczeń zmniejszyła się o 48%.

Czy widzi Pan jakieś rozwiązanie, które wpłynęłoby na „pijące społeczeństwo”? Jaka powinna być tutaj polityka polskiego rządu?

– Myślę, że obecny system społeczno-gospodarczy nieuchronnie prowadzi do tego, że uzależnieni od alkoholu (oraz innych środków psychoaktywnych) są i będą. Zmniejszyć skalę problemu mogłoby choćby ograniczenie sprzedaży alkoholu, dofinansowywanie profilaktyki uzależnień, opieki psychologicznej i psychiatrycznej, oświaty, wzmacnianie prawa pracy i egzekwowanie go, a także programy mające na celu zmniejszanie nierówności dochodowych.

Są różne motywy sięgania po alkohol. Należałoby się zastanowić czy przekonanie o pseudotradycji uzasadniającej picie nie stanowi już początku uzależnienia. Dostępność alkoholu w polskich sklepach również może mieć wpływ na liczbę alkoholików i alkoholiczek. Nie mówi się o tym dostatecznie często i głośno, tym samym problem nie jest dostrzegany przez polskie społeczeństwo. Tak jak w przypadku każdej innej choroby, widząc objawy alkoholizmu, warto jest sięgnąć po profesjonalną pomoc.

Nicole KRAKOWSKA

Damian Stefańczyk to 25-letni twórca internetowy, który jest autorem podcastu Damian's Corner. Wpadł on na pomysł, aby przedstawiać edukacyjne treści w niespotykany do tej pory sposób. Przeprowadza wywiady z polskimi rozpoznawalnymi osobistościami po angielsku.

Na swoich social mediach, rozpropagowuje naukę języków w inny sposób, np. tworząc Tiktoki z tłumaczeniami piosenek. Wszystkie te działania pomagają mu w głoszeniu jego misji przełamania barier językowych. Rozmawiał, między innymi z Sebastianem Fabijańskim, Arleną Witt czy Andrzejem Piasecznym. Damiana obserwuje ponad 90 tysięcy internautów a jego treści zyskały blisko milion polubieli na TikToku.

Studiowałeś politologię, a następnie pracowałeś w strukturach UE. Dlaczego zdecydowałeś się na zmianę kierunku twojej kariery?

– To nie było moje. To nie znaczy, że już mnie to nie interesuje, bo jestem bardzo szczęśliwy, że to wszystko się zdarzyło. Próbowalem różnych rzeczy, z czasem odkrywałem, co jest moje, a co niekoniecznie. Uważam się za osobę kreatywną, a wyżej wspomniana praca sprawia, że ten czynnik jest ograniczany. Bardzo często stajesz się jednym z wielu, a ja cenię sobie unikatowość.

Co spowodowało, że nie zdecydowałeś się na studia dziennikarskie – rozważałeś je wcześniej?

– Nie. Mnóstwo ludzi realizujących się w tym zawodzie nie skończyło tego etapu edukacji w tym kierunku, a są świetni w tym, co robią. Chociażby Marcin Prokop, który ukończył finanse i bankowość. Nie chcę absolutnie umniejszać, bo kierunek powstał po to, aby kształtować. Uważam jednak, że zdobywanie wiedzy w innych dziedzinach może okazać się dużo bardziej przydatne. Sam po sobie widzę, że politologia pozwoliła mi na wykreowanie tzw. soft skills.

Jak powstał pomysł na stworzenie podcastu? Czy najpierw chciałeś propagować naukę w social mediach, a z czasem narodził się pomysł formy wywiadów, czy może na odwrót?

– Od zawsze chciałem jakoś być w tym świecie dziennikarskim. Konkurencja jest olbrzymia, w szczególności w mediach tradycyjnych. Ja też nie miałem żadnych znajomości, ani nie studiowałem kierunkowo tej dziedziny, co też nie ułatwiało mi startu. Zacząłem myśleć, w czym jestem dobry, co jest moim atutem. Zauważyłem, że są to języki: łatwość w ich nauce i rozumieniu struktur gramatycznych.

„Języki powinny łączyć”



Damian Stefańczyk to 25-letni twórca internetowy, który jest autorem podcastu Damian's Corner.

” W maju tego roku mamy wybory i zaprosiłem kandydatów z każdej partii. Jedną z takich rozmów na pewno będzie mi dane przeprowadzić, co z pozostałymi? Czas pokaże.

Zdecydowałem się iść w kontent po angielsku, bo jest to luka na rodzimym rynku, którą wypełniam każdego dnia. Poprzez rozmowy walczę z tym, co jest moim zdaniem naszym największym problemem – oceną zdolności, np. pod kątem akcentu. Języki powinny łączyć, służyć komunikacji, a nie być powodem do krytyki. Chciałbym to zmienić w świadomości rodaków.

Jak sam wspominałeś, ludzie często dają sobie przyzwolenie do wystawiania opinii na temat tego, jak to się wypowiada. Czy zetknąłeś się kiedyś z hejtem z tego powodu?

– Od czasu do czasu filtruję komentarze – u mnie nie ma miejsca na nieuzasadnioną krytykę; w szczególności w kwestii wymowy moich gości. Na szczęście były to bardzo pojedyncze sytuacje. Przez cały okres mojej działalności mogę sobie przypomnieć maksymalnie cztery takie wrogie nacechowane wypowiedzi. Zdecydowana większość jest pozytywna.

Na twoim kanale pojawiają się specjaliści w wielorakich dziedzinach; od wokalistów, aktorek, dziennikarzy, tancerzy po ludzi związanych ze sportem. Stawiasz na ogromną różnorodność w doborze gości. Czy są jakieś osoby, których nie zdecydowałbyś się zaprosić?

– Chce rozmawiać z każdym. Wiadomo, jestem świadomy tego aspektu językowego, więc niestety nie wszyscy zgodzą się na rozmowę, która nie jest po polsku. W maju tego roku mamy wybory i zaprosiłem kandydatów z każdej partii. Jedną z takich rozmów na pewno będzie mi dane przeprowadzić, co z pozostałymi? Czas pokaże. Tutaj wchodzi też kwestia obiektywności, o czym dane było mi porozmawiać w podcaście z Anną Kalczyńską. Pojawia się pytanie – czy w dziennikarstwie pełen obiektywizm jest możliwy?

Jak widzisz przyszłość swojego kanału?

– Myślę, że jest tutaj olbrzymie pole do rozwoju. Póki co żaden z twórców nie zdecydował się podążać podobną ścieżką do mojej, z czego bardzo się cieszę, bo jest to mój autorski pomysł. Nie chce się też zamykać. Czuję jednak, że nałożyłem na siebie pewną łatkę swego rodzaju nauczyciela. Marketingowo jest to świetnym rozwiązaniem. Moim jedynym celem nie jest jednak pełne skupienie na podcastach, dlatego też lecę robić dokument do Ameryki. Chcąc się rozwijać w tym rejonie, w październiku zaczynam studia magisterskie z zakresu amerykanistyki. Uważam, że obie te rzeczy mogą być furką do potencjalnie innych projektów.

Czy gdybyś w przyszłości dostał propozycję pracy w mediach tradycyjnych, przyjąłbyś taką ofertę? Jesteś pewny, że do końca chcesz pozostać freelancerem?

– Trudno powiedzieć. Widzę, że prowadzenie niezależnego programu ma olbrzymie korzyści. Ta dowolność w doborze gości czy w pisaniu scenariuszy do odcinków. Nie chce być dziennikarzem, który tylko czyta, jest jedynie głosem. Nie mówię, że tak nie będzie, nie wiem, co się wydarzy za parę lat. Druga kwestia, to ta zarobkowa. Niestety, ale większość ludzi z tej branży nie zarabia dobrze. Na pewno jestem też świadomy wad tego, że działam na własną rękę. Pomimo że mam osoby, które pomagają mi w montażu, to wszystkim pozostałym kwestiom muszę sprostać sam. Narzuciłem sobie szybkie tempo, ponieważ zapraszam cztery osoby w miesiącu. Wierzę w to, że ta wykonywana teraz praca mi popłaci w przyszłości i wówczas będę mógł trochę zwolnić.

Czy uważasz, że aktualnie tak bardzo angażujesz się w realizację swojej pasji, że trochę zatraciłeś ten balans? Myślisz, że mogłeś pójść trochę z tzw. skrajności w skrajność?

– Myślę, że tak może być. Zauważyłem, że uległy pogorszeniu moje prywatne relacje. Nie z przyjaciółmi, ale przykładowo te romantyczne. Praca, którą aktualnie się zajmuję, zdecydowanie nie jest etatowa. To jest więcej niż osiem godzin dziennie, wliczając się w to również weekendy. Skupiam się bardzo na sobie, co myślę,

że długofalowo może być dobre. Mam też niestety świadomość, że przez to dużo rzeczy mnie omija. Samorozwój jest najważniejszy. Nie możesz definiować własnego szczęścia kimś innym, a ja tak kiedyś robiłem.

Jesteś przede wszystkim twórcą działającym w sieci. Która aplikacja pomogła Ci najbardziej w osiągnięciu rozpoznawalności?

– Zdecydowanie Instagram. Urywki wywiadów mają znacznie większą oglądalność niż cały program. Jest to dla mnie wytłumaczalne. Żyjemy w tak przebudżconym świecie, że nie mamy czasu, aby wysłuchać godzinnego odcinka. Treści zawarte w rolkach są najczęściej najbardziej interesujące dla przeciętnego odbiorcy.

No właśnie, zdecydowałeś się na realizację odcinków, które trwają minimum godzinę, a niekiedy dłużej. Nie obawiałeś się, że nie stawiając na krótkie treści nie znajdziesz targetu?

– Bałem się, ale uważam, że aby poznać ludzi, trzeba im poświęcić chwilę. To nie jest tak, że ta osoba przyjdzie, zadam jej jedno chwytliwe pytanie i koniec. Zawsze staram się wyczuć gościa, co przychodzi z czasem. Zauważam, że fragmenty, z których robię rolki, zazwyczaj pojawiają się po pół godziny rozmowy, co też jest dowodem na to, że ten czas jest nieodzowną wartością.

Gdybyś miał ocenić współczesne dziennikarstwo – to czego w nim nie lubisz, czego nie chcesz powielać w swoich projektach?

– Na pewno polaryzacja. Fakt, że negatywna informacja dużo lepiej się sprzedaje, niż ta pozytywna. Irytuje mnie też, że bardzo często pytania, które słyszę, np. w innych podcastach, są powtarzalne. Nie chce tutaj mówić, że moje są odkrywcze, ale staram się. Mam też z tyłu głowy, że często ktoś może mieć narzucone pewne tematy z góry. Ja chciałem tego uniknąć.

Kto z naszego rodzimego rynku twoim zdaniem naprawdę dobrze odnajduje się w tym zawodowym świecie?

– Natalia Kusiak, tworzy podcast „Pierwsza randka”. Jest bardzo charmatyczną osobą i robi to inaczej. Ma na siebie pomysł, który skrupulatnie realizuje. Bardzo w niej to cenię. Jej rozmowy są ciekawe, angażują mnie jako słuchacza. Inspiruje mnie jej dobór gości i otwartość. Nie znam jej osobiście, mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni.

Więcej o reportażach, które Damian będzie realizował w Ameryce oraz o tym, jak wyglądało jego życie za granicą, przeczytacie w drugiej części wywiadu, na naszej stronie internetowej.

Rozmawiała Julia ZYGMUNT

Tropem piątkowskiej mafii

„Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia...” – każdy z fanów „Ojca Chrzestnego” zna ten cytat. Film o sycylijskiej mafii zadziwia i przeraża jednocześnie. A co jeśli takie historie nie są tylko fikcją literacką, ale dzieją się tuż przed naszym nosem? Przyjrzyjmy się losom piątkowskiego gangu, który w latach 90. przewodniczył wszystkim poznańskim organizacjom spod ciemnej gwiazdy. Co stało się z lokalnymi gangsterami i czy nadal jest się czego obawiać?

Rozmowy z mieszkańcami nie przyniosły pożądanego efektu. Pośród mieszkających na Piątkowskim osiedlu Stefana Batorego, próżno szukać jednoznacznych informacji na temat organizacji przestępczych z tego rejonu. Z twarzy starszych wyczytać można było jedynie coś w rodzaju „wiem, ale nie powiem”. Wspomnienia wśród nich są szczątkowe, ale z całą pewnością stwierdzić można jedno: każdy o mafii wiedział i starał się trzymać od niej z daleka. –Mafia była. Pamiętam, że nie lubiono się między dzielnicami i strach było zostawić własne auto na parkingu – wspomina lokalny mieszkaniec, pan Artur. –Samochody faktycznie znikły. Robiono to dla okupu, wszystko koncentrowało się na pieniądzach. Na osiedlu Batorego było bardzo dużo ludzi uprzywilejowanych, milicjantów. W czasie stanu wojennego cały blok wychodził ubrany na niebiesko – dodają państwo Maria i Witold.

Inny z naszych rozmówców, pan Jan zauważa, że to właśnie z tych sfer wyrosli poznańscy gangsterzy. Wynikało to z poczucia bezkarności i z dostępu do broni, którą zaczęto wykorzystywać wbrew swojemu przeznaczeniu. –Zastraszano mieszkańców, kradziono samochody, aby następnie wyłudzić jak najwyższy okup. Handlowali także narkotykami, przez co zyskali określenie mafii piątkowskiej, jednej z kilku podobnych działających w Poznaniu. Był to okres przemian w Polsce. W większości działalnością kryminalną zajmowały się następne pokolenia po milicjantach, wojskowych, działaczach partyjnych, gdyż im było najłatwiej. Takie były czasy – opowiada mężczyzna. Pan Jan



Ulica Maków Polnych mieściła dom „Makowca”, nazywanego legendarnym poznańskim gangsterem.

podaje nawet rejon, w którym najczęściej było słyhać o zamieszanych w brudne interesy, przybliżając nawet blok i klatkę, w której mieszkali.

„Twardy” i „Makowiec”

Jest rok 1994, złote czasy dla gangu piątkowskiego. W osobliwym krajobrazie blokowisk z wielkiej płyty, w latach tuż po przemianie ustroju, w momencie idealnym dla rozwoju ciemnych interesów, wśród gęstych zabudowań osiedli spotyka się kilkunastoosobową grupę „działaczy” obejmującą swoim zasięgiem nie tylko Poznań, ale także Szamotuły, czy Zieloną Górę. Przewodniczy im Damian Sz., pseudonim „Twardy”, który niedługo później zaginie w niewyjaśnionych okolicznościach, a o jego śmierci krążyć będzie wiele legend. Wedle jednej z nich, zastrzelono go i zmielono ciało, a następnie zakopano w ogrodzie niejakiego Zbyszka B., pseudonim „Makowiec”, gangstera z konkurencyjnej ekipy z centrum miasta. Zlecono nawet policji rozkopanie basenu znajdującego się na

„Akcja w Cafe Głos to tylko jedno z przeraźliwych wydarzeń tamtych lat. Przestępcy szantażowali i grozili śmiercią. Mówiono także o porywaniu tych, którzy nie chcieli płacić nałożonego przez gangsterów haraczu za skradzione auta.

posesji przestępcy, ale zwłok nie odnaleziono. Postać „Makowca” i jego niechlubna kartoteka sprawiają, że bywa on nazywany prawdziwą legendą poznańskiej mafii. Jego pseudonim wziął się od ulicy, na której mieszkał – ul. Maków Polnych. Zaczynał jako cinkciarz, aby wkrótce zająć się przemytem, wyłudzeniami i kradzieżą samochodów, a ostatecznie stał się szefem

„szajki z Centrum”, pozostającej w ciągłym konflikcie z gangiem z Piątkowa. Największy rozgłos zyskał po słynnej akcji, która trafiła na pierwsze strony gazet i wstrząsnęła całym Poznaniem.

Co się wydarzyło w Cafe Głos?

18 grudnia 1995 roku około godziny 12 w nieistniejącej już kawiarni Cafe Głos na ulicy 27 grudnia pojawia się uzbrojony człowiek działający na zlecenie „Makowca”. Zamachowiec przybywa z zamiarem zastrzelenia Jarosława Ś., pseudonim „Święty”. Motywem jest zemsta i wyrównanie prywatnych porachunków. Operacja jednak nie przebieg według planu. Mężczyzna namierza swój cel i podchodzi do niego, udając, że rozmawia przez telefon. Następnie wyciąga z kieszeni pistolet, przykładając go do głowy, i wypowiedziawszy słowa „dopadłem cię”, oddaje cztery strzały. Popelnia jednak błąd, gdyż zastrzelonym wcale nie jest Jarosław Ś., a znajdujący się tam przypadkowo inny człowiek.

Przyczyn nieudanego zamachu szukać należy wcześniej. 13 października tego samego roku nastoletni syn „Makowca” został uprowadzony i wywieziony poza Poznań w bagażniku fiata 125p przez zamaskowanych sprawców, wśród których był właśnie „Święty”. To właśnie ta sytuacja sprawiła w gniew szefa gangu, czego efektem był plan morderstwa w centrum miasta w ramach odwetu. Cała ta trwająca latami afera była pokłosiem brutalnych utarczek między poznańskimi gangsterami, którzy, lekko mówiąc, ewidentnie nie przepadali za tym, gdy ktoś wchodził im w drogę.

Akcja w Cafe Głos to tylko jedno z przeraźliwych wydarzeń tamtych lat. Przestępcy szantażowali i grozili śmiercią. Mówiono także o porywaniu tych, którzy nie chcieli płacić nałożonego przez gangsterów haraczu za skradzione auta. Przez wiele lat działający w brudnych interesach uciekali przed policją i unikali sprawiedliwości. Istnienie poznańskich gangów można jednak uznać już za przeszłość. Zbyszko B. ma dziś 73 lata i od dekad siedzi w więzieniu, podobnie jak jego synowie i żona, a także większość zamieszanych w afery lat 90. „Wymuszenia? Rozboje? To już historia. Dzisiaj liczą się szybkie i duże pieniądze” – powiedziała Hanna Grzeszczyk z poznańskiej prokuratury apelacyjnej dla „Gazety Wyborczej”. Wynika z tego, że nie musimy obawiać się już przestępczego półświatka za naszymi oknami. Nastąpiły czasy, gdy tekst o „propozycji nie do odrzucenia” usłyszeć możemy już nie na ulicy, ale na całej szczęście – jedynie w filmie.



Wjazd na jedno z osiedli, na którym w latach 90. zamieszkiwali zamieszani w ciemne interesy

Już ponad dwa miesiące minęły od zaprzysiężenia Donalda Trumpa na Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Decyzje, które podjął w ciągu swoich pierwszych dni urzędowania wywołały szok na całym świecie. Według wielu były kontrowersyjne i skrajne. Ale czy faktycznie były aż tak inne od tych podejmowanych przez czołowych europejskich liderów, od centrum po prawicę? Czy może Europa staje się lustrzanym odbiciem populistycznej Ameryki?

Oczywiście nie wszystkie rozwiązania, które proponuje Trump znajdują swoje odbicie w Europie. Jednak wśród trumpistowskich polityk, które niewątpliwie pokrywają się z kursem, który w ostatnim czasie obrała UE warto wymienić następujące: walka z nielegalną imigracją, deportacje, ograniczenie celów i zobowiązań klimatycznych, zbrojenia, deregulacja i podwyższanie deficytów budżetowych.

Deportacje i zawieszenie programu przyjmowania uchodźców korespondują z przesuwającą się w prawo polityką migracyjną wielu europejskich państw. Obrazuje to chociażby odrzucenie przez rządy Polski, Słowacji i Węgier tzw. paktu migracyjnego. Pakt ten ma na celu uregulowanie polityki migracyjnej wewnątrz UE tak, aby odpowiadała za nią wszystkie państwa członkowskie, aby odciążać państwa pogranicza Unii. Antyimigracyjny trend potwierdzają też takie decyzje, jak przyjęcie ustawy ograniczającej prawo do azylu w Polsce, czy przyjęcie w niemieckim Bundestagu wniosku, który „wzywa m.in. do stałych kontroli granicznych i odsyłania na granicach osób ubiegających o azyl w Niemczech”. Przytoczyć należy także słowa Donalda Tuska, które padły 22 stycznia w Parlamencie Europejskim. Mówił on o konieczności obrony granic i terytorium oraz o bezradności rządów europejskich w tej kwestii. Jeszcze bardziej bezpardonowe, już nie sceptyczne a wręcz wrogie słowa padły na madryckim zjeździe Patriotów dla Europy, czyli trzeciego największego ugrupowania w PE. Premier Węgier Viktor Orbán wypowiedział się następująco: „Bruksela doprowadziła do zalania Europy migrantami. Otworzyła wrota i granice na inwazję migrantów. (...) Nielegalna migracja, inwazja i zastąpienie populacji Europy to nie teoria spiskowa tylko rzeczywistość”.

Wirus trumpizmu atakuje



Donald Trump zdaje się mieć coraz większe grono naśladowców w Europie

„Dążenie do deregulacji i silna współpraca z prywatnym sektorem czy stawianie na silną gospodarkę kapitalistyczną to również postulaty Trumpa, które pokrywają się z polityką części europejskich liderów. Aktualnym przykładem jest chociażby nowo nawiązana współpraca premiera Tuska z prezesem firmy InPost Rafałem Brzoską. 10 lutego Tusk złożył Brzosce ofertę stworzenia zespołu, który miałby przygotować propozycje deregulacji dla przedsiębiorców.

Dążenie do deregulacji i silna współpraca z prywatnym sektorem czy stawianie na silną gospodarkę kapitalistyczną to również postulaty Trumpa, które pokrywają się z polityką części europejskich liderów. Aktualnym przykładem jest cho-

chozby nowo nawiązana współpraca premiera Tuska z prezesem firmy InPost Rafałem Brzoską. 10 lutego Tusk złożył Brzosce ofertę stworzenia zespołu, który miałby przygotować propozycje deregulacji dla przedsiębiorców. Wśród pierwszych

opublikowanych już propozycji znaleźć można takie jak m.in. ograniczenie działalności urzędów skarbowych (związane m.in. z kontrolami dot. podatku VAT), zwiększenie limitu zwolnienia podmiotowego z VAT czy szeroka digitalizacja jak największej liczby usług urzędowych. Są to postulaty typowe dla polityki ugrupowań prawicowych postulujących ograniczenie roli administracji publicznej w życiu obywateli i przedsiębiorstw oraz kładących większy nacisk na wolność gospodarczą, bez uwzględnienia perspektywy pracowników. Tu również można przywołać słowa Tuska wypowiedziane w PE 22 stycznia, a mianowicie jego wezwanie do „wielkiej akcji deregulacji”. Mówił: „bądźcie w tej kadencji par-

lamentem, który zdobędzie się na wielki wysiłek deregulacji”. Nie wspominał choćby słowem o zagrożeniach, które może nieść ze sobą ten proces. Należą do nich zwiększone ryzyko nadużyć, możliwe obniżenie standardów, osłabienie ochrony pracowników czy brak odpowiedzialności cywilnej korporacji.

Znamienne jest również coraz bardziej niejednoznaczne podejście do polityki klimatycznej. Trump zdecydował się na rezygnowanie z Porozumienia Paryskiego a także na umożliwienie nowych odwiertów w dnie morskim i poszukiwanie złóż ropy i gazu na Alasce. Może to skutkować zwiększeniem emisji gazów cieplarnianych i degradacją ekosystemów morskich. W tym samym czasie wielu Europejczyków kontestuje Zielony Ład. Przedstawiciele Patriotów dla Europy ustami Krzysztofa Bosaka mówią „Odrzucimy cały ten europejski nonsens jak polityka klimatyczna, Europejski Zielony Ład, pakt migracyjny i wiele więcej”. Premierka Włoch Giorgia Meloni, którą sam prezydent Trump nazwał „fantastyczną kobietą”, widzi w aktualnym kształcie Zielonego Ładu katastrofalne skutki. Donald Tusk apeluje o złagodzenie europejskiej polityki klimatycznej i o stawianie innych priorytetów nad dbaniem o środowisko naturalne. W większości europejskich państw w siłę rosną partie skrajnie prawicowe, które sprzeciwiają się progresywnej polityce klimatycznej. Stawia to pod znakiem zapytania kwestię przyszłego podejścia do środowiska i klimatu w UE.

Oczywiście nie jest tak, że wszystkie polityczne decyzje zapadające w Europie pokrywają się z tym, co proponuje Trump. Nie w każdej sferze życia przesuwamy się w „prawą stronę”, ale jest to zjawisko, na które należy zwracać większą uwagę. Niektóre z tych kwestii podyktowane są nie tyle zmianami zachodzącymi wśród polityków, a zmianami w otaczającym nas świecie, takimi jak nowe wyzwania w sferze obronności i bezpieczeństwa. W obliczu narastających napięć i kryzysów, takich jak wojna w Ukrainie, wiele europejskich państw zaczęło zwiększać wydatki na wojsko, modernizować swoje siły zbrojne i wzmacniać współpracę w ramach NATO. Podobne zmiany można zaobserwować w podejściu do polityki energetycznej. Nie oznacza to jednak, że Europa jednoznacznie dryfuje w kierunku amerykańskiej prawicy. Nadal w wielu obszarach dominują rozwiązania centrolewicowe, zwłaszcza jeśli chodzi o wspieranie różnorodności czy wsparcie dla integracji europejskiej i multilateralizmu.



Premier Węgier Viktor Orbán jest ikoną skrajnej prawicy. Od lat utrzymuje bliskie stosunki z Putinem i Trumpem

Marianna CZMOCHOWSKA

Pośród fal wielkiej polityki

Obszar Oceanii, usiane wyspami połacie Zachodniego Pacyfiku, stanowi kluczowe pole rywalizacji wiodących mocarstw XXI wieku. Zarówno Stany Zjednoczone Ameryki, jak i Chiny dążą do przeciągnięcia licznych państw regionu na swoją stronę. Zwycięzca tej rywalizacji może przejąć kontrolę nad cennymi zasobami i kluczowymi szlakami handlowymi. Jak państwa regionu zapatrują się na walkę mocarstw? Czy są wobec niej bezsilne? Czy na Pacyfiku rozstrzygną się losy całego świata?

Kraje Oceanii nie od dziś stanowią pole imperialnych zmagania. W XIX wieku ten różnorodny etnicznie i kulturowo obszar został zdominowany przez zachodnie mocarstwa, które wykrzystały swoją przewagę gospodarczą i militarną do narzucenia rdzennym ludom swojej władzy. Po I wojnie światowej nowym graczem w regionie stała się Japonia, która została nagrodzona za udział w Wielkiej Wojnie po stronie ententy terytoriami zamorskimi Cesarstwa Niemieckiego. W wyniku II wojny światowej na dziesięciolecia niekwestionowanym hegemonem regionu stały się Stany Zjednoczone. Ameryka zagarnęła japońskie kolonie, podporządkowała samą Japonię i utrzymywała ścisły sojusz z Australią i Nową Zelandią. Przez cały okres zimnej wojny Związek Radziecki nigdy nie zdołał zagrozić strategicznej pozycji Stanów Zjednoczonych w Oceanii.

Problematyczny region

Po II wojnie światowej rdzenne narody regionu zaczęły aspirować do samostanowienia, inspirowane ruchami antykolonialnymi w Azji i Afryce. Dodatkowo status prawny znacznej części wysp Oceanii, oparty na formule terytoriów powierniczych ONZ, obligował kolonialne metropolie do wytyczenia rdzennej ludności drogi do samostanowienia. Pierwszym niepodległym „niebiałym” krajem Oceanii stało się Samoa, które otrzymało niepodległość od Nowej Zelandii w 1962 roku. Do końca 1994 roku, gdy niepodległość od Stanów Zjednoczonych uzyskało Palau, w Oceanii pojawiło się 12 niepodległych państw.

Państwa regionu po osiągnięciu niepodległości stanęły przed licznymi wyzwaniem. Należą do nich niski poziom rozwoju gospodarczego, rozproszenie terytorialne na licznych wyspach oraz uzależnienie po-



Manasseh Sogavare, premier Wysp Salomona w latach 2019-2024, wybrał bliższe związki z ChRL, zrywając stosunki dyplomatyczne z Tajwanem

”Narody Mikronezji, Polinezji i Melanezji znalazły się w samym oku geopolitycznego cyklonu. Choć ich kraje dążą do wytyczenia własnej drogi ku dobrobytowi i stabilności, regionalne i światowe potęgi z pewnością nie pozostawią ich samym sobie.

lityczne od dawnych metropolii. Przykładami niepełnej suwerenności są Sfederowane Stany Mikronezji, Palau i Wyspy Marshalla. Państwa te są pełnoprawnymi członkami ONZ, jednak za ich obronę, część usług publicznych i funduszy rozwojowych odpowiadają Stany Zjednoczone. Dodatkowo dwa ob-

szary Oceanii, Nowa Kaledonia i Polinezja Francuska, pozostają Terytoriami Zamorskimi Francji. Zeszłoroczne zamieszki rdzennych Kanaków z Nowej Kaledonii pokazują, że kolonializm pozostaje źródłem napięć w regionie.

Zagrożeniem dla przyszłości regionu są też zmiany klimatu. Sztan-

darowym przykładem jest mikronezyjskie państwo Kiribati, które w wyniku podnoszenia się poziomu morza może stracić większość swojego terytorium. Również pozostałe kraje boleśnie doświadczają takich konsekwencji globalnego ocieplenia, jak zmniejszone zasoby ryb, częstsze burze tropikalne czy obumieranie raf koralowych. Dzieje się tak mimo znikomego udziału mieszkańców regionu w światowych emisjach gazów cieplarnianych.

Mocarstwowa szachownica

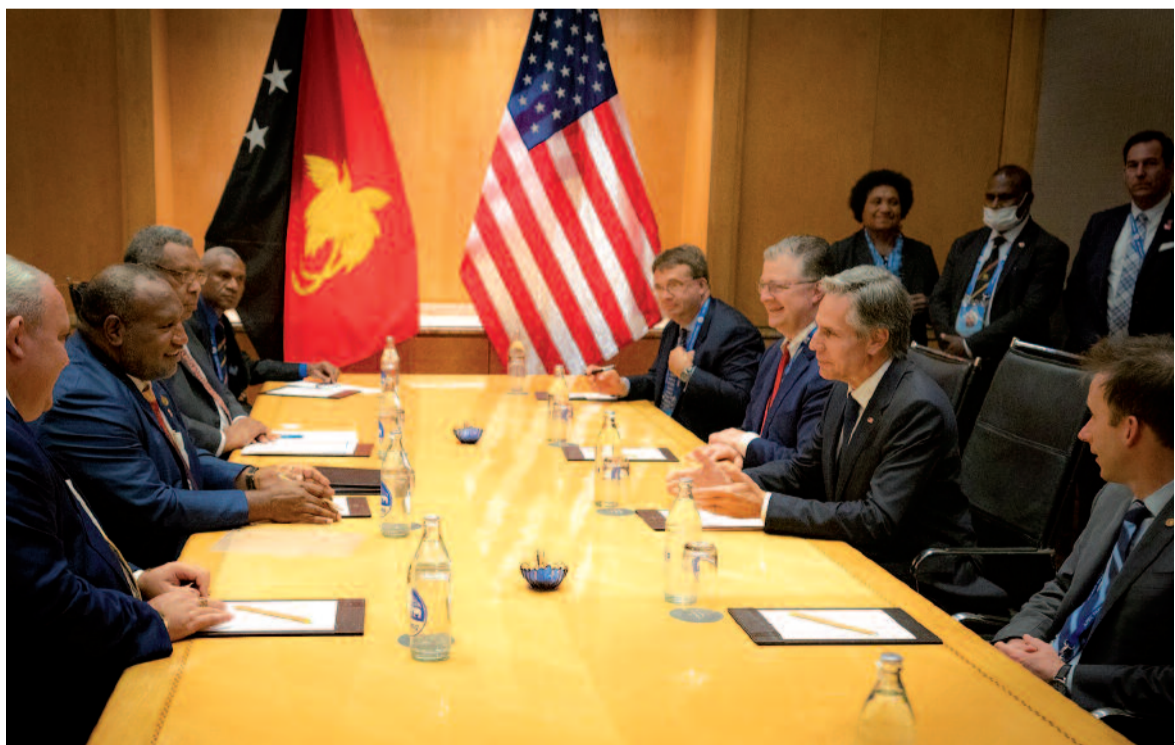
Z racji na kluczową rolę regionu Oceanii w rozgrywce geopolitycz-

nej mocarstw zwróciliśmy się z prośbą o komentarz do mgr Karola Starowicza z Zakładu Pozaeuropejskich Studiów Politycznych UAM. Starowicz jest ekspertem w zakresie stosunków międzynarodowych w regionie Azji i Pacyfiku.

– USA i Chiny rywalizują ze sobą o wpływy. Nie możemy też pomijać pozostałych państw regionu Indo-Pacyfiku, takich jak Federacja Rosyjska, Indie, Republika Korei, Japonia czy Australia, które mają własne ambicje i pretendują do odgrywania coraz większej roli – mówi Starowicz. Konfrontacja mocarstw sprawia, że szczególnie strategicznie położone kraje, takie jak Papua Nowa Gwinea i Wyspy Salomona, zyskują na znaczeniu. Stany Zjednoczone zacieśniły w 2023 roku stosunki z Papuą, podpisując układ obronny. Tymczasem Chiny podpisały w tym samym roku układ z rządem Wysp Salomona, w którym Pekin zobowiązał się do wsparcia tego melanezyjskiego kraju w utrzymaniu porządku wewnętrznego i bezpieczeństwa zewnętrznego.

Kluczową kwestią dla bezpieczeństwa Oceanii i całego świata jest spór o przyszłość Tajwanu. ChRL postrzega tę wyspę jako zbuntowaną prowincję, podczas gdy rząd w Tajpej oficjalnie uznaje się za kontynuację Republiki Chińskiej. Chińsko-tajwański spór ma wyraźne przełożenie w regionie Oceanii. – Obecnie już tylko 12 państw na świecie utrzymuje pełne stosunki dyplomatyczne z Tajwanem, w tym niektóre państwa Pacyfiku, takie jak Palau, Tuvalu oraz Wyspy Marshalla. Nie jest tajemnicą, że zasada tzw. „jednych Chin” jest egzekwowana w krajach, w których Pekin angażuje się gospodarczo, czego przykładem są Wyspy Salomona, które w 2019 r. uznały ChRL w miejsce Republiki Chińskiej na Tajwanie – podkreśla Starowicz. Przez lata Tajwan był w stanie rywalizować gospodarczo z Chinami, czyniąc utrzymanie oficjalnych stosunków dyplomatycznych opłacalnym dla krajów Oceanii. Jednak obecnie potencjał gospodarczy ChRL jest zbyt wielki, by ta strategia mogła się utrzymać.

Narody Mikronezji, Polinezji i Melanezji znalazły się w samym oku geopolitycznego cyklonu. Choć ich kraje dążą do wytyczenia własnej drogi ku dobrobytowi i stabilności, regionalne i światowe potęgi z pewnością nie pozostawią ich samym sobie. Ten, kto w najbliższych latach zdominuje Oceanie, będzie miał szansę na zawładnięcie nieprzebranymi bogactwami naturalnymi i światowym handlem. Choć z perspektywy Polski jest to najodleglejszy region świata, to mogą się tam rozstrzygnąć również nasze losy.



Zawarty w 2023 roku układ obronny z Papuą Nową Gwineą jest odpowiedzią Stanów Zjednoczonych na rosnące wpływy Chin w Oceanii

Administracyjna **batalia**

Funkcjonowanie w przestrzeni administracyjnej osób nieidentyfikujących się z płcią przypisaną przy narodzeniu może wiązać się z wieloma trudnościami i dyskomfortem. Panujące w Polsce prawo i procedury oraz sposób działania urzędów mogą stanowić dla osób transpłciowych i niebinarnych wyzwanie. Jak prawo uwzględnia osoby transpłciowe? Czy rząd planuje w tej sprawie usprawnienia? Co mają do powiedzenia w tej kwestii politycy?

Osoby transpłciowe i niebinarne spotykają się z wieloma trudnościami w codziennym funkcjonowaniu. Procedury związane z załatwianiem spraw administracyjnych w urzędach czy sądach zazwyczaj nie uwzględniają komfortu osób nie utożsamiających się z płcią przypisaną przy narodzeniu. W wielu sytuacjach może doprowadzić to do nieprzyjemnych sytuacji. Osoby transpłciowe i niebinarne są narażone na odczuwanie w takich sytuacjach dysforii. Jest to uczucie dyskomfortu i cierpienia psychicznego, związanego z odczuwaniem swojego ciała i funkcjonowania społecznego jako niezgodnego z tożsamością danej osoby.

Pod względem komfortu osób transpłciowych, jedną z najbardziej krytykowanych przez działaczy w zakresie praw osób LGBTQ+ procedur jest prawna korekta danych dotyczących płci. W Polsce istnieją odrębne przepisy regulujące kwestię prawnego ustalenia płci. Sądy kierują się w takich sytuacjach orzecznictwem innych sądów polskich i międzynarodowych. Szczególnie ważne było w tym przypadku orzeczenie Sądu Najwyższego z 22 marca 1991 roku. W orzeczeniu tym wskazano, że w przypadku osób transpłciowych zmiana danych urzędowych wskazujących na płeć może być dokonana na podstawie art. 189 k.p.c. Zapis ten mówi o tym, że osoba wytaczająca powództwo w procesie cywilnym „może żądać ustalenia przez sąd istnienia lub nieistnienia stosunku prawnego lub prawa”. Późniejsze orzeczenia Sądu Najwyższego doprecyzowały proces prawnego ustalenia płci. Orzeczenie Sądu Najwyższego z 1995 roku wskazuje, że osoba transpłciowa, aby zmienić swoje dane wskazujące na płeć, musi pozwać swoich rodziców. Wytoczenie takiego powództwa nie jest jednak jedynym krokiem. Zasadniczymi warunkami sądowego ustalenia płci są również opinie o transpłciowości



Prawa osób transpłciowych od lat są przedmiotem walki polskich środowisk LGBTQ

Trudna sytuacja administracyjna spotyka osoby niebinarne, które nie utożsamiają się z płcią żeńską i męską. Państwo polskie nie uznaje takiej tożsamości płciowej, więc nie można jej wskazać w oficjalnych dokumentach. Niektóre państwa uznają już neutralne oznaczenia płci.

wydane przez osobę lekarską ze specjalizacją w seksuologii lub psychiatrii oraz osobę z wykształceniem psychologicznym, specjalizującą się w seksuologii. Oprócz tego osoba składająca pozew nie może znajdować się w związku małżeńskim. Dzieje się tak dlatego, że w Polsce związki małżeńskie osób jednej płci nie są prawnie dozwolone.

Proces o uzgodnienie płci jest skomplikowany a jego tok zależy od wielu czynników. Okoliczności, takie jak nieprzychylność rodziców, wyznaczenie przez sąd osób biegłych i żądanie dodatkowych badań, mimo dostarczonej opinii seksuologicznej, czy wystąpienie w procesie prokuratora, mogą znacznie utrudnić przebieg postępowania i przedłużyć proces zmiany danych. Przebieg samej sprawy sądowej może trwać nawet dwa lata. Osoby autorskie inicjatywy tranzycja.pl zajmującej się promowaniem wiedzy o transpłciowości i tranzycji, wskazują, iż z powodu braku regulacji ustawowej „nie można w pełni przewidzieć przebiegu i długości procesu”.

Przy występowaniu tak wielu okoliczności, rozprawy dotyczące sądowej korekty płci mogą często budzić obawy o naruszanie godności osób wnioskujących o zmianę danych. W niektórych przypadkach do spraw o prawne ustalenie płci włącza się Rzecznik Praw Obywatelskich. W listopadzie 2023 roku zgłosił udział w procesie o prawną korektę płci w sprawie transpłciowego mężczyzny w sądzie w Poznaniu. Biuro RPO informując o przystąpieniu do sprawy, napisało, że Rzecznik „przeciwdziała naruszeniom praw i wolności [osób transpłciowych], w tym poprzez dążenie do zapewnienia ochrony przed dyskryminacją” oraz że „prawo osoby transpłciowej do funkcjonowania w zgodzie ze swoją tożsamością płciową” jest „fundamentalnym prawem osobistym”.

W najnowszej decyzji, 4 marca 2025 roku, Izba Cywilna Sądu Najwyższego uznała, że osoby transpłciowe nie muszą pozywać swoich rodziców w celu sądowego ustalenia płci. Postępowanie, według uchwały, ma odbywać się w trybie nieprocesowym. Trudno

dokładnie przewidzieć jak będą wyglądały postępowania prawnego uzgodnienia płci po tej decyzji. Dla osób transpłciowych jest to jednak przełomowa zmiana.

Trudna sytuacja administracyjna spotyka osoby niebinarne, które nie utożsamiają się z płcią żeńską i męską. Państwo polskie nie uznaje takiej tożsamości płciowej, więc nie można jej wskazać w oficjalnych dokumentach. Niektóre państwa uznają już neutralne oznaczenia płci. W Niemczech taki przepis został wprowadzony w 2024 roku, na Islandii w 2019 roku a na Malcie w 2018 roku. W Polsce jednak nadal nie ma takiej możliwości.

Możliwość zmian

Próbowano już wprowadzić ustawową regulację procedury sądowego ustalenia płci. W lipcu 2015 roku Sejm RP uchwalił ustawę zakładającą uproszczenie procedur sądowej korekty płci. Według projektu prawne ustalenie płci miało się odbywać w trybie nieprocesowym, więc osoba transpłciowa nie musiałaby pozywać własnych rodziców. Wnioski miały być rozpatrywane przez Sąd Okręgowy w Łodzi a osoba składająca wniosek miałaby dołączyć do niego dwie opinie o transpłciowości, wydane przez lekarzy. Projekt ten spotkał się z aprobatą wielu organizacji pozarządowych zajmujących się aktywizmem w dziedzinie praw człowieka. Amnesty International oświadczyło wtedy, że ustawa

„gwarantuje przejrzyste, rzetelne oraz łatwo dostępne procedury uznania płci i dostosowuje polskie ustawodawstwo w zakresie prawnego uznania osób transseksualnych do standardów europejskich”. Przedstawiciele AI stwierdzili również, że projekt „stanowi przełomowy krok w realizacji prawa do ochrony życia prywatnego i samostanowienia” osób transpłciowych. Mimo tego, w październiku 2015 roku, prezydent Andrzej Duda zawetował ustawę twierdząc, że „jest pełna luk i nieścisłości”, jak napisało w komunikacie Kancelarii Prezydenta.

Nadzieje osób transpłciowych na zmiany wzbudziła jednak deklaracja ministry do spraw równości, Katarzyny Kotuli. 28 lutego, podczas konferencji zorganizowanej w Urzędzie Ochrony Danych Osobowych, ministra oznajmiła, że Departament ds. Równego Traktowania ma w planach przygotowanie ustawy o uzgodnieniu płci. Oznajmiła, że projekt ten jest następny w kolejności po ustawie o związkach partnerskich. W grudniu 2024 roku temat ustawy o uzgodnieniu płci skomentował minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Poparł on powstanie takiej ustawy i powiedział, że projekt był przedmiotem jego rozmów z ministrami Kotulą. Mimo zapowiedzi na ten moment brak jest szczegółów dotyczących ewentualnych rozwiązań, które miałyby znajdować się w ustawie.

Oprócz tego trudności przy przeprowadzaniu ewentualnej ustawy o uzgodnieniu płci mogą pojawić się przy próbie uzyskania poparcia w Sejmie. Polskie Stronnictwo Ludowe, bez którego trudno uzyskać sejmową większość, cechuje się konserwatywnym podejściem wobec społeczności LGBTQ+. Już podczas procedowania projektu ustawy o związkach partnerskich partia ta nie wspierała kształtu zmian postulowanych przez Lewicę. Z kolei Koalicja Obywatelska nie prezentuje jednolitego stanowiska odnośnie w kwestii zmiany danych przez osoby transpłciowe.

Prawo dotyczące osób transpłciowych w Polsce wywołuje wiele kontrowersji i krytyki. Mimo, że zmiany w nim są planowane to modyfikacja tego typu legislacji może być czasochłonna. Temat transpłciowości poruszany podczas kampanii wyborczej oraz sprzeciw polityczek i polityków z prawej strony sceny politycznej może skutkować opóźnieniem prac lub fiaskiem ewentualnego projektu zmian. Ostatnia decyzja Sądu Najwyższego pokazuje, że osoby transpłciowe są pozbawione stabilnego otoczenia prawnego w walce o fundamentalne prawa dotyczące ich tożsamości.

Kryzys klimatu na półce

Kawa i czekolada są nieodłącznymi częściami specjalnych okazji i spotkań z bliskimi. Kupujemy je na urodziny, imieniny, jubileusze, walentynki i inne święta. W tym roku ceny wymienionych towarów znacznie wzrosły. Eksperti i ekonomiści ostrzegali o podwyżkach cen tych produktów już w ubiegłym roku przed świętami Bożego Narodzenia. Możliwe, że niedługo staną się one towarem luksusowym. Dlaczego tak się stało i czy przestaniemy sięgać po codzienną kostkę czekolady?

Wiele osób nie wyobraża sobie poranka w pracy, lub na uczelni bez wypicia kawy. Obserwujemy, że z roku na rok jest na nią coraz większe zapotrzebowanie, statystycznie pijemy jej coraz więcej. Nie tylko kawa króluje na naszych stołach. Według raportu opublikowanego przez Wedel w październiku 2024 roku przeciętny Polak zjada 5,8 kg słodyczy w skali roku. Eksperti prognozują, że wzrost będzie stały i do 2029 roku osiągniemy poziom 6,5 kg słodyczy na osobę. Konsumpcjonizm i pojawiające się nowe wiralowe produkty, takie jak dubajaska czekolada przyciągają wielu zaciekawionych kupujących. To zapotrzebowanie może jednak wkrótce okazać się trudne do zaspokojenia...

WWF w artykule „Klimat na Twoim talerzu” opisuje jak kryzys klimatyczny wpłynie na produkcję i ceny produktów spożywczych. Wspomina o ocenach naukowców prognozujących, że do 2050 roku zmiana klimatu sprawi, iż obszar upraw kawy zmniejszy się o około 50%. Kryzys może wpłynąć także na produkcję kakao, herbaty, czy też winogron. Możliwe więc, że za kilkanaście lat wymienione produkty staną się dobrami luksusowymi i nie każdy będzie mógł sobie na nie pozwolić.

Jednym z istotniejszych czynników, które wpływają na zmianę cen żywności, są właśnie zmiany klimatyczne. Rosnące temperatury powodują długotrwałe susze, a gwałtowne zjawiska pogodowe coraz częściej niszczą uprawy. Afryka Zachodnia odpowiada za znaczną część światowej produkcji kakao. Wzrost temperatur w tym regionie zmniejsza liczbę plonów i podnosi koszty. Ceny kakao na rynku są obecnie najwyższe od dekad. Przyczyn wyższych cen jest więcej – są to na przykład podwyżki cen transportu morskiego i lądowego czy wzrost cen materiałów wykorzystywanych do produkcji opakowań.



Zagrożona zmianami klimatu kawa stanowi istotny produkt eksportowy krajów Globalnego Południa

Być może odpowiedzią na narastający problem będzie tworzenie surowców w laboratoriach. Amerykańska firma California Cultured niedawno podjęła się stworzenia takiej czekolady. Wcześniej media opisywały podobny proces pozyskiwania mięsa w warunkach laboratoryjnych.

Poza tym słabe zbiory i wzrost cen kakao w Afryce powodują kradzieże na plantacjach, co przekłada się na wyższe ceny produktów. Efektem takich działań mogą być sytuacje, w których to rolnicy uzbrajają się w maczety i pilnują swojego dorobku,

tak jak to ma miejsce na przykład w Kamerunie. W tym kraju ceny kakao są bardzo wysokie, w 2024 roku sięgały ponad siedmiu dolarów za kilogram, gdy wcześniej wynosiły trzy dolary. W październiku 2024 roku Polska Agencja Prasowa opisywała,

że władze Wybrzeża Kości Słoniowej przechwyciły ponad 30 ciężarówek z około 1100 tonami kakao. Przewidywano, że przestępcy planowali wywieźć je nielegalnie do Gwinei. Kradzieże plonów w krajach afrykańskich zdarzają się coraz częściej, głównym powodem są marne zbiory kakao w Ghanie i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Niezadowolające plony są spowodowane niesprzyjającą pogodą – przeciagającymi się porą deszczową i suszą. W efekcie od czterech lat trwa niedobór kakao, a jego ceny rosną. PAP opisuje, że eksperci z Międzynarodowej Organizacji Kakao zrewidowali swoje szacunki de-



Większość światowej produkcji kakao pochodzi z krajów narażonych najbardziej na katastrofę klimatyczną

ficytu w światowych zbiorach ziaren kakaowca w obecnym sezonie, podnosząc je z poprzednich 439 tys. ton do 462 tys. Z problemem kradzieży borykają się również rolnicy w Ugandzie. Wzrost cen kakao sprawił, że rabunki na plantacjach zdarzają się coraz częściej. W pewnym dystrykcie na zachodnim terenie Ugandy, graniczącym z Demokratyczną Republiką Konga rolnicy powołali specjalne grupy bezpieczeństwa, aby chronić plony przed złodziejami.

Innym produktem dotkniętym przez zmiany klimatyczne jest kawa, szczególnie wrażliwa na niekorzystne warunki atmosferyczne. Międzynarodowa Organizacja Kawy zrzeszająca państwa eksportujące i importujące kawę pisała o rekordowym wzroście cen. Największymi producentami tego produktu są Brazylia i Wietnam. W Brazylii rolnicy zmagają się z ogromną suszą i wysokimi temperaturami. W ubiegłym roku przez Wietnam przeszedł tajfun Yagi.

Poza kawą i czekoladą innym produktem, którego cena szybko wzrosła jest sok pomarańczowy. Przyczyną tego zjawiska są kataklizmy na polach uprawnych, na przykład huragany. Eksperti wspominają również o chorobie zazieleniania się cytrusów, która skutecznie ogranicza wzrost plonów. Agencja Reuters opisywała, że producenci pomarańczy zebrali w 2024 roku o jedną czwartą mniej surowca do produkcji soku, osiągając najniższy wynik od przełomu lat 1988/89.

Być może odpowiedzią na narastający problem będzie tworzenie surowców w laboratoriach. Amerykańska firma California Cultured niedawno podjęła się stworzenia takiej czekolady. Wcześniej media opisywały podobny proces pozyskiwania mięsa w warunkach laboratoryjnych. Naukowcy pobierają próbki z kakaowca, selekcionują komórki, następnie pozostawiają je, tak aby rosły w zbiornikach z odżywką. W przeciągu tygodnia komórki osiągają dojrzałość. Są od razu gotowe do zbioru, fermentacji i prażenia. Naturalny czas wzrostu trwa do ośmiu miesięcy. Czekolada z laboratorium może być dobrym rozwiązaniem w kwestii zachowania bioróżnorodności zagrożonej przez monokultury.

Mimo tego, że zmiany w środowisku postępują, to wciąż istnieje szansa, aby je zmniejszyć. Jednym z wielu działań mogących zmniejszyć ich negatywne konsekwencje jest walka z marnowaniem żywności. Według raportu „Nie marnuj jedzenia 2024” aż 45% Polaków przyznaje się do wyrzucania produktów spożywczych. Obecnie kawa, czekolada i inne produkty są dla nas dostępne na wyciągnięcie ręki, jednak pewnego dnia może dojść do sytuacji, w której staną się dobrami luksusowymi i niedostępnymi dla zwykłego człowieka.

Marcelina GÓRSKA

Sacrum, profanum i syreni śpiew

Filmy Paolo Sorrentino, włoskiego reżysera lubującego się w realizmie magicznym, nie od dziś podbijają festiwale i czarują widzów z całego świata. Jego „Wielkie piękno”, uznawane za arcydzieło współczesnego kina Półwyspu Apenińskiego, pozwoliło na odkrycie przez szeroką publiczność zarówno leków, jak i zachwytów, jakich doświadczył na swej drodze artysta. Ta oda do życia, młodości i nieubłaganego czasu, ustawiła poprzeczkę niezwykle wysoko. Czy „Bogini Partenope” udało się do niej zbliżyć?



Zdjęcie: flickr / Paolo Berengiano

Paolo Sorrentino powraca z najnowszym filmem

Nowoty Sorrentino zadebiutował na zeszłorocznym festiwalu filmowym w Cannes, podczas którego brał udział w walce o Złotą Palmę. Choć w polskich kinach produkcja zagości dopiero 14 marca, jest zdecydowanie jedną z najbardziej wyczekiwanych tegorocznych premier. Umiejętności narracyjne i kreatywne reżysera przyciągają przed ekrany rzesze kinomanów. Są oni gotowi zanurzyć się w tym charakterystycznym dla niego wizualnym baroku, przesyce i nagromadzeniu piękna oraz niezwykłości, nierzadko odstających od normy czy realizmu. Właśnie taka, pełna uroku, humoru i inteligencji jest „Bogini Partenope”.

Dzieło opowiada o losach młodej kobiety, która przyszła na świat w morzu, sąsiadującym z jej rodzinnym domem w Neapolu. Partenope wyrasta na zjawiskową postać, zwracającą na siebie uwagę nie tylko wyglądem, ale i erudycją. W miarę postępu fabuły poznajemy jej rodzinę towarzyszącą bohaterce w zajęciach na studiach antropologicznych. Stale nurtuje ją pytanie, czym właściwie jest nauka, którą się zajmuje. Poznajemy otaczających ją ludzi, skomplikowane relacje, fascynacje, pasje, trudności i doświadczenia, także odrealnione, szczególnie w trzecim akcie utworu. Co charakterystyczne dla twórczości reżysera, film zdaje się oscylować pomiędzy sferami sacrum i profanum, ukazując Partenope niemal jak boską istotę. Mimo tego nie odbiera jej człowieczeństwa, cielesności ani – zdaje się momentami niechcianej – uwodzicielskiej natury.

„Film, będący tak naprawdę zbiorem historii z różnych lat życia Partenope, dzięki swojej enigmatycznej, pozostawiającej miejsce na domysły narracji, przywodzi na myśl album z ruchomymi zdjęciami. Kolażowa forma opowieści wzmaga wrażenie tajemniczości, jakie roztacza wokół siebie bohaterka, ale i doskonale oddaje działanie pamięci oraz wspomnień.

Syrenka z Neapolu

Mówiąc o nowym dziele Sorrentino niemożliwe jest oddzielenie go od jego mitycznej natury. Sama postać Partenope zaczerpnięta została z greckiej mitologii, w której to figuruje jako syrena. W tej wersji legendy, rzuca się ona do morza po nieudanej próbie zwabienia Odyseusza w swoje sidła i zostaje wyrzucona na brzeg miasta, dziś znanego jako Neapol. Rzymski wariant opowieści sugeruje, że w kobiecie zakochany był centaur o wdzięcznym imieniu Wezuwiusz. Związek ten jednak przeszkadzał najwyższemu z bogów, Jowiszowi, który w przypływie gniewu zamienił centaury w wulkan, jego kochankę natomiast w miasto – Neapol.

Luźna reinterpretacja mitu przez reżysera dodaje jego filmowi nieprzeniknionej głębi. Oto urzekająca, młoda kobieta, działająca na ludzi jak magnes, o skomplikowanej historii i życiu wewnętrznym. Taki obraz bohaterki, jak i miasta, które reprezentuje, przedstawia nam włoski artysta. Urodzony w tymże miejscu twórca, do dziś wydaje się połączony z nim duchowo. To właśnie w rodzinnym domu w wieku szesnastu lat stracił rodziców, co stara się częściowo zrekonstruować w terapeutycznym filmie z 2021 roku –

„To była ręka Boga”. Trudno jednak zignorować wątki biograficzne także w jego najnowszym dziele, w którym utożsamia miejsce urodzenia zarówno z odrealnionym, magicznym wdziękem, jak i głęboko skrywaną zgnilizną i fałszem, ukrytymi pod fasadami urokliwych, turystycznych miejsc. W „Bogini Partenope” ujawnia się jego fantazja o wielopokoleniowej rodzinie, żyjącej razem we względnej harmonii, którą bezpowrotnie burzy jednak tragiczna oraz przedczesna utrata jednego z jej członków. Trauma i nieodparte, choć niesłuszne poczucie winy, nękają główną bohaterkę pozwalając artyście na ujawnienie własnych urazów z młodości lat.

Wielkie piękno

Film, będący tak naprawdę zbiorem historii z różnych lat życia Partenope, dzięki swojej enigmatycznej, pozostawiającej miejsce na domysły narracji, przywodzi na myśl album z ruchomymi zdjęciami. Kolażowa forma opowieści wzmaga wrażenie tajemniczości, jakie roztacza wokół siebie bohaterka, ale i doskonale oddaje działanie pamięci oraz wspomnień. Ich zadaniem nie jest bowiem taśmowe odtwarzanie wszystkich sytuacji z życia, jedna

po drugiej, ale przechowywanie tego, co najbardziej efektowne. Nie bez powodu mówi się przecież, że coś jest „godne zapamiętania”, a „Bogini Partenope” na pewno taka jest.

Ujęcia przypominające niekiedy marzenia sennie, kościelne sekwencje w trzecim akcie, wyglądające jak wycięte fragmenty barokowych obrazów, postaci tak człowiekowi bliskie i znajome, jak wielka włoska rodzina. Choć momentami można odnieść wrażenie, że niektóre postacie nie otrzymują wystarczająco dużo czasu, by widz mógł się do nich zbliżyć i w pełni nimi nacieszyć, nie jest przypadkowe. Stanowi to jednocześnie jedną z najlepszych metafor relacji międzyludzkich, jaką Sorrentino mógł zastosować.

Gdy tak wiele jego dzieł skupia się na przemijaniu związanym z postępującym wiekiem, najnowszy utwór przypomina, że wielu ludzi funkcjonuje w naszych życiach jedynie w roli „turytów”. Ci, niczym odwiedzający Neapol przyjezdni, przechadzają się przez chwilę po naszych ulicach, czasem czymś się zachwyca, innym razem odkrywają dotychczas skutecznie ukrywane przed nimi „brudy”. Może zostawia ślad, który przy odrobinie szczęścia będzie nieco bardziej wartościowy niż nadmiernie agresywne graffiti na przypadkowym murze.

Nowa muza Sorrentino

W rolę głównej bohaterki wciela się rozpoczynająca dopiero swoją karierę Celeste Dalla Porta, określana szumnie w mediach „nową muzą Sorrentino”. Przecież należy, że młoda aktorka idealnie oddaje nie-

uchwytny, efemeryczny wręcz urok Partenope. Choć konstrukcja scenariusza momentami wydaje się nieco wybrakowana, doprowadzając do nieoczekiwanej utraty tempa i przeciągając niewymagające tego sceny, to właśnie protagonistka zawsze przyciąga uwagę widza, udowadniając, że warto poświęcić czas na uważne zapoznanie się z jej historią.

Na drodze młodej kobiety pojawia się także jej ulubiony amerykański autor John Cheever (grany przez Gary’ego Oldmana). Ten samotny, wewnętrznie skonfliktowany, melancholijny mężczyzna fascynuje bohaterkę swym sposobem bycia oraz twórczością. Pisarz stanowi figurę artysty uzależnionego od alkoholu i własnego smutku, dostrzega jednak w Partenope własne utracone piękno i młodość, inspirując ją tym samym do celebrowania ulotnych wartości. Doskonale ujawnia swoje intencje w scenie, w której kobieta proponuje wspólny spacer, a on odmawia, gdyż „nie chciałby ukraść ani minuty jej młodości”.

Formującym doświadczeniem pod kątem naukowym, ale i osobistym jest dla bohaterki także współpraca z profesorem antropologii, Devoto Marottą (w tej roli Silvio Orlando). Relacja z nauczycielem, będącym w pewnym stopniu przewodnikiem życia protagonistki, pomaga jej rozwinąć się zawodowo, ale i dostrzec w sobie potencjał i dojrzałość, których nie była w pełni świadoma. Sama ewolucja Partenope nie może jednak zostać przypisana żadnemu z wyżej wymienionych mężczyzn ani żadnemu mężczyźnie w ogóle. W postaci tej objawia się bowiem głęboki podziw Sorrentino wobec kobiet, potrzeba celebrowania zarówno ich inteligencji i urody, cielesności i duchowości, a wreszcie – seksualności i świętości. Ta oniryczna oda, pozbawiona tendencji do uprzedmiotowienia, ale bogata w oparte na sile i autonomii obrazy kobiecości, tak różnorodnej i fantastycznej, wyraźnie wzbogaca twórczość reżysera o nowe konteksty.

„Bogini Partenope” to niezwykle dojrzałe dzieło w dorobku włoskiego reżysera, odkrywające nieporuszone wcześniej przez niego kwestie lub rzucające nowe światło na jego twórczość. Magnetyzm głównej bohaterki jest upajający, jej niepokorne, wymykające się patriarchalnym pragnieniom i stereotypom działania oraz nieposkromiona potrzeba odnalezienia siebie w świecie przedstawione zostały niespodziewanie wiarygodnie i uniwersalnie. W każdym z nas bowiem kryje się ten pierwiastek Partenope, zrodzona z morskiej toni potrzeba bycia znaczącą częścią świata, który tak bardzo nas fascynuje.

Maria PILARSKA

Narodziny legendy rocka

Ponad pół wieku temu powstał jeden z najwybitniejszych zespołów w historii rocka - Led Zeppelin. Jego początki oraz droga na szczyt zostały szczegółowo przedstawione w najnowszym filmie Bernarda McMahona „Becoming Led Zeppelin”. Ta wyjątkowa produkcja nie tylko ukazuje historię legendarnej grupy, ale także pozwala lepiej zrozumieć jej fenomen i wpływ na rozwój muzyki rockowej.

Wśród największych światowych ikon rockowej sceny muzycznej bez wątpienia należy wskazać zespół Led Zeppelin, uznany za jeden z najbardziej wpływowych w historii. Wyróżniający się nietypowym stylem komponowania, w swoich utworach łączy klasyczny rock z bluesem i folkem, tworząc tym samym unikalne brzmienie. O zespole, który swoją działalność rozpoczął pod koniec lat 60. XX wieku, do tej pory wiedzieliśmy jednak niewiele. Choć mija już 57 lat od jego założenia, przez ten czas nie doczekał się filmu dokumentującego jego historię. Dopiero w lutym fani otrzymali produkcję, która w pełni została poświęcona badaniu początków tego zespołu. Stąd jej nazwa – „Becoming Led Zeppelin”. Film po raz pierwszy zaprezentowano w 2021 roku na festiwalu w Wenecji, a następnie Sony Classics Pictures wykupiło prawa do produkcji i rozpoczęło prace nad jej edycją. W efekcie powstała nowa wersja filmu, którego premiera miała miejsce w poprzednim miesiącu.

Widzowie mają okazję zobaczyć początki kariery zespołu z punktu widzenia samych jego członków, ponieważ film jest przez nich opowiadany. Zawiera wypowiedzi każdego z muzyków – Roberta Planta, Jimmy'ego Page'a oraz Johna Paula Jonesa, a także nigdy dotychczas nieopublikowane nagranie z niezującym już Johnem Bonhamem. Reżyser dokumentu zdobył wiele materiałów pochodzących z archiwów zespołu i wykorzystał je w swojej produkcji – między innymi prywatne zdjęcia z młodości artystów, a także nagrania z pierwszych koncertów i projektów muzycznych grupy. Film przedstawia chronologiczną historię zespołu, zabierając widza w podróż od jego początków, po wielki, spektakularny sukces. Połączenie narracji prowadzonej przez muzyków z archiwalnymi materiałami wyróżnia film na tle innych dokumentów.

Intensywny początek



Led Zeppelin w Hamburgu w 1973 roku

Brytyjski zespół Led Zeppelin narodził się w 1968 roku z inicjatywy gitarzysty Jimmy'ego Page'a, który po rozpadzie pierwszego zespołu, do którego należał – The Yardbirds, stanął przed wyzwaniem stworzenia nowej formacji. To on skompletował skład i nadał grupie wyrazisty kierunek muzyczny. Jej charakterystyczne brzmienie, które łączyło blues, rock i folk, stało się fundamentem dla stylu Led Zeppelin, a eksperymentowanie z dźwiękiem nadało jej unikalny charakter. Już w 1968 roku zespół zagrał swój pierwszy kameralny koncert, a zaledwie kilka miesięcy później, w

” Dwunastoletnia kariera zespołu zakończyła się w 1980 roku po tragicznej śmierci jednego z jego członków – perkusisty Johna Bonhama.

Pomimo, iż to właśnie pierwszy rok działalności miał kluczowe znaczenie w podbijaniu sceny muzycznej, w kolejnych latach Led Zeppelin nie przerywał rozwoju, ciągle zaskakując fanów.

styczniu 1969 roku, wydał debiutancki album „Led Zeppelin I”, który charakteryzuje się typowymi dla przełomu lat 60. i 70. elementami rocka psychodelicznego. Jednocześnie pozostaje wierny bluesowi i kla-

sycznemu rockowi, czyli gatunkami muzycznymi dominującymi w twórczości zespołu. Jeszcze w 1969 roku Led Zeppelin wydał drugi album, na którym ukazały się jedne z najpopularniejszych nume-



Jimmy Page – gitarzysta, twórca zespołu Led Zeppelin

rów zespołu, takie jak „Whole Lotta Love” czy „Ramble On”. Tę płytę, analogicznie do pierwszej, nazwano „Led Zeppelin II”. Zaskakująco odniosła ona jeszcze większy sukces niż debiut sprzed kilku miesięcy. W tym samym roku muzycy wyruszyli w pierwszą trasę koncertową podbijając serca fanów i stając się jedną z najbardziej rozpoznawalnych grup muzycznych na świecie. Dzięki intensywnemu koncertowaniu zyskiwali coraz większą popularność, a trwające kilka godzin występy często wzbogacano o improwizacyjne wstawki, co w tamtym czasie było popularnym trendem wśród zespołów.

Bernard McMahon w swoim filmie szczególnie ukazuje, jak w ciągu jednego roku Led Zeppelin zdołał nie tylko zaistnieć na scenie, ale również zrewolucjonizować muzykę rockową. W 1969 roku, po wydaniu dwóch albumów i setkach koncertów, ich pozycja w branży muzycznej była już niezaprzeczalna. Sprzedaż obu płyt jeszcze przed końcem roku przekroczyła pięć milionów egzemplarzy, a ich koncerty przyciągały coraz większą publiczność.

Reżyser dokumentu skupił się na tych niezwykle intensywnych początkach, pokazując, że sukces Led Zeppelin nie był dziełem przypadku, lecz wynikiem nieustannej pracy i muzycznego kunsztu jego członków. Zespół szybko zdobył międzynarodowe uznanie, mimo że nie wypuścił żadnego singla promującego albumy. To podejście, choć ryzykowne, okazało się strzałem w dziesiątkę, gdyż fani docenili pełne, spójne brzmienie płyt. Dzięki temu albumy Led Zeppelin były postrzegane jako kompletne dzieła.

Dwunastoletnia kariera zespołu zakończyła się w 1980 roku po tragicznej śmierci jednego z jego członków – perkusisty Johna Bonhama. Pomimo, iż to właśnie pierwszy rok działalności miał kluczowe znaczenie w podbijaniu sceny muzycznej, w kolejnych latach Led Zeppelin nie przerywał rozwoju, ciągle zaskakując fanów. Nagrywał nowe albumy i koncertował na całym świecie, umacniając swoją pozycję na arenie międzynarodowej. Ich najbardziej rozpoznawalny numer – „Stairway to Heaven” był jednym z najczęściej zamawianych utworów w stacjach radiowych w USA, w latach 70. Ponadto zajmuje on trzydzieste pierwsze miejsce na liście pięciuset utworów wszech czasów według magazynu „Rolling Stone”. Historia Led Zeppelin jest niezwykle fascynująca, a najnowsza produkcja Bernarda McMahona pozwala spojrzeć na nią z zupełnie innej perspektywy – tej opowiedzianej przez samych członków zespołu.

Małgorzata WALKOWIAK

Adam Silvera. Tańczący ze śmiercią...

... i z emocjami czytelników. W hipnotyzujących układach, pełnych pierwszych razów, wykonywanych w rytm przesuwających się wskazówek zegara. Parkietem świat, w którym o nadejściu kostuchy informują cię przez telefon. I jest to płatna subskrypcja. Z okazji zbliżającej się premiery „The Survivor Wants to Die at the End” zagłębiamy się w bestsellerowe uniwersum Adama Silvery.

Witaj, dzwonię z Prognozy Śmierci. Z przykrością informuję, że w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin czeka cię niechybna śmierć. W imieniu wszystkich naszych pracowników przekazuję moje najszczerze kondolencje. Przeżyj ten dzień jak najlepiej, okej? – a teraz czytelniku zamknij oczy i wyobraź sobie świat, w którym możesz odebrać taki telefon. I nie pomyślisz, że to groźba czy słaby kawał.

Drzwi takiego świata przed czytelnikami otworzył pisarz Adam Silvera, znany m.in. z „Cyklu Nieokończoności” czy „Zostawiłeś mi tylko przeszłość”. W 2020 roku został uwzględniony na liście autorów – prowadzących naród ku równości, akceptacji i godności dla wszystkich ludzi – opublikowanej przez portal Queerty z okazji 50. rocznicy pierwszej parady LGBTQ Pride. Uniwersum Prognozy Śmierci, jak sam mówi, jest jego ulubionym. Liczy sobie dwa tomy, a dwa kolejne są już na horyzoncie. Amerykańska premiera najnowszego, „The Survivor Wants to Die at the End” odbędzie się już 6 maja 2025 roku.

Wodzeni i wodzący

Pierwszy tom cyklu, „Nasz ostatni dzień” szturmował listę bestsellerów The New York Times, budząc liczne emocje i przyciągając uwagę nie tylko „szarych czytelników”. Od kilku lat mówi się o pracach nad ekranizacją historii Rufusa i Mateo – oficjalnie ogłaszał je również sam autor. Skąd ten rozgłos? Czym punktuje i jak zapada w pamięć „Nasz ostatni dzień”? Porównuję swoje odczucia z redaktorami „Fenestry”, Szymonem Filipiakiem i Julią Zygmunt.



Sprawdzamy co sprawia, że od tej serii nie sposób się oderwać.

„Jedną z głównych zalet „Tego pierwszego ostatniego dnia” pozostaje jednak dla mnie parabola, wprowadzona do fabuły w formie opowiadania o Orionie. Bardzo emocjonalna, równie pomysłowa i wyraźnie inspirowana średniowiecznym motywem „danse macabre”. Porusza do głębi, na stałe wznajając się w pamięć. Proszę „Orionie” zamienić na „Orionisie”.

– Po pierwsze lekki styl – podkreśla Szymon. – Książkę czyta się w sposób przyjemny, mimo że autor zastosował ogromny suspens – uzupełnia. Dorzucę, że tak jak tej historii nie brak humoru, tak Silvera niepostrzeżenie napina emocjonalne struny czytelników, zręcznie balansując na granicy ich wytrzymałości.

Przy 24 godzinach akcji i tytule jasno sugerującym zakończenie trudno w to uwierzyć. A jednak, za sprawą stosowanej naprzemiennie dla obu bohaterów narracji pierwszoosobowej czytelnik poznaje Mateo i Rufusa możliwe najbliżej. Ze strony na stronę wyraźniej dostrzega ich indywidualne wrażliwości. Właśnie to, zauważa Szymon, skłaja opowieść nastolatków. Niepostrzeżenie, z każdą kartką coraz mocniej w nią angażując.

Mateo jest zamknięty w sobie, złęczony życiem. Rufus osierocony i obciążony dużym bagażem emocjonalnym. Gdy, po odebraniu telefonu od Prognozy Śmierci, jako „Zgonersi” trafiają na siebie w aplikacji „Ostatni Przyjaciel” zaczyna dziać się magia. Docieranie się odmiennych charakterów, rozliczanie z przeszłością, rozkwit przyjaźni i miłości, a także

przełamywanie granic w walce o to, by nie umrzeć za życia – obawiając się śmierci.

– Najbardziej pamiętne jest robienie czytelnika w konia – puentuje Szymon. Jesteśmy zgodni, Adam Silvera to arcy mistrz wodzenia za nos. Im bliżej końca „Naszego ostatniego dnia”, tym mocniej płonie nadzieja na stary, dobry „happy end”. Silvera konsekwentnie do tego piecyka dorzuca... by nagle wrzucić do niego granat. Wybuch tak szokuje, że i świat czytelnika zamiera. A w takiej aurze dobitnie wybrzmiewa morał o korzystaniu z każdej chwili, pobudzający czytelnika do refleksji.

Silvera imponuje również dbałością o detale, obrazując potencjalny wpływ Prognozy Śmierci na społeczeństwo. Jest ona obecna w popkulturze, biznesie i na rynku usług – z myślą o „Zgonersach” stworzono tematyczne parki, bary czy social media. Dzięki uwypukleniu szarości – ukazaniu ludzi chcących „Zgonersów” zarówno wspierać, jak i wykorzystywać – w całość naprawdę nietrudno uwierzyć.

Są więc emocje, jest i wiarygodność, a na dokładkę – wyekspono-

wane perspektywy bohaterów drugoplanowych, a nawet epizodycznych, w tym pracowników Prognozy Śmierci! Od tej misternie ważonej mieszanki niemalże nie sposób oderwać oczu.

– Pamiętam, że połknęłam ją praktycznie tym jednym przysłowiowym tchem. Silvera wciągnął czytelnika w swoją fabułę – przyznaje Julia Zygmunt. – Może nie były to najbardziej wyszukane słowa i najmniej oczywista puenta świata, ale sam styl pisania miał w sobie coś, co w tamtym momencie mnie urzekło. Skłaniało nastoletnią mnie do jakichś, powiedzmy, głębszych przemyśleń. Nie była to jednak lektura, która po czasie jakoś bardzo rezonowała mi w głowie. Nie ujmując kunsztu Silverze, myślę, że gdybym przeczytała ją dzisiaj potraktowałabym ją bardziej w charakterze odmłodzacza – dodaje, pokazując odmienną perspektywę na „Nasz ostatni dzień”. Zaznaczyć należy, że są też czytelnicy nastawieni do powieści bardziej krytycznie, nieprzekonani co do jej formuły. I, choć różnie oceniana, siłą rzeczy była to opowieść kompletna.

Pierwsze razy

Więć o prequela przyjąłem z takim samym entuzjazmem, co obawą. Śmiało założyłem, że Silvera drugi raz tak samo mnie nie zaskoczy... szkopał w tym, że wcale nie próbował. A jest to fundamentalna zaleta „Tego pierwszego ostatniego dnia”, którego akcja toczy się pierwszego dnia funkcjonowania Prognozy Śmierci. Ze strony

społeczeństwa jest fascynacja, jest entuzjazm, ale i przerażenie i otwarta wrogość względem tak surrealistycznej usługi. Na rynku są już pierwsze gadżety, a huczne eventy promocyjne przeplatają się z równie huczными rozróbami. Silvera symbolicznie kreśli drogę, jaką pokonała zarówno sama usługa, jak i społeczeństwo pomiędzy tymi dwoma powieściami. Jest i pierwszy telefon Prognozy Śmierci, odebrany przez pełnego marzeń Valentina, którego los chwilę wcześniej przeciął się – dosłownie tańczącym ze śmiercią – Orionem.

Autor raz jeszcze pozwala naprzemiennie obserwować czytelnikowi akcję oczyma obu chłopców z miejsca budzących sympatię. Pojawiają się i perspektywy postaci drugoplanowych, których prowadzenie i ostateczny wpływ na całość historii budzą niemałe zaskoczenie. Jest też niepewność, spowodowana poważną usterką Prognozy Śmierci. I tak chłopcy, początkowo zmuszeni mierzyć się ze śmiercią jednego z nich, zaczynają bać się tego, że życie straci i drugi – a czytelnik razem z nimi. Towarzyszą im rozkwitające uczucia, próby łapania marzeń, poruszające gesty i wiele pierwszych razów. Nowych, względem historii Mateo i Rufusa, którzy pojawiają się również w prequela, szczęśliwie nie tylko w roli lepu na czytelnika. Pogłębione zostają ich historie, na czym dodatkowo zyskuje „Nasz ostatni dzień”. A to tylko jedno, obok wzruszającej genezy Ostatniego Przyjaciela, ze spoiw scalałających obie powieści.

Jedną z głównych zalet „Tego pierwszego ostatniego dnia” pozostaje jednak dla mnie parabola, wprowadzona do fabuły w formie opowiadania o Orionie. Bardzo emocjonalna, równie pomysłowa i wyraźnie inspirowana średniowiecznym motywem „danse macabre”. Porusza do głębi, na stałe wznajając się w pamięć. Proszę „Orionie” zamienić na „Orionisie”.

Nie ulega wątpliwości, składowe uniwersum Prognozy Śmierci zbierają również negatywne recenzje. Mnie jednak ten format zaciekał. „Nasz ostatni dzień” i „Ten pierwszy ostatni dzień” są jednymi z kilku książek, które wciągnęły mnie tak mocno, że rozpoczynając lekturę w nocy, nie zauważyłem nastania świtu. Gdy nie liczyłem już nawet, ile razy się śmiałem, a ile razy łzy stały mi w oczach. Efekt ten nie ustaje przy ponownym czytaniu, książki Silvery zdają się wraz z nim zyskiwać. Czuć, że są bardzo osobiste i przemyślane. Z bohaterami kradnącymi serca i subtelną symboliką skłaniają do refleksji bliższych rzeczywistości niż się to pozornie wydaje.

Marcin KLONOWSKI

Telewizyjny kicz czy hit?

„Taniec z gwiazdami” to telewizyjny fenomen, który od niemal dwóch dekad utrzymuje się na antenie.

Jednak z każdym kolejnym sezonem widzowie dostają niemal identyczny zestaw uczestników: sportowiec, influencer, kontrowersyjna postać, aktor i starsza gwiazda. Przewidywalność, sztuczność i kicz sprawiają, że program bardziej przypomina marketingową ustawkę, niż prawdziwą rywalizację. Czy telewizyjne show stały się własną autoparodią?

Gdy w 2005 roku TVN zaprezentował pierwszą edycję „Tańca z gwiazdami”, widzowie byli zachwyceni. Program wprowadził świeżość na polski rynek rozrywki – dynamiczna formuła, gwiazdy w nowej roli i spektakularne występy przyciągnęły miliony przed ekrany. Jednak po niemal dwóch dekadach show straciło dawny blask i stało się przewidywalnym, odtwórczym widowiskiem, w którym liczy się medialny rozgłos, a nie taneczny talent.

W każdej edycji możemy zauważyć niemal identyczny zestaw uczestników: sportowiec – były piłkarz, siatkarz lub olimpijczyk, bez doświadczenia tanecznego, ale swoją determinacją zdobywający sympatię publiczności. Następnie wybierany jest influencer – gwiazda Instagrama lub TikToka, mający na celu przyciągnąć młodszych widzów i zwiększyć zasięgi programu w social mediach. Kolejnego – celebrytę dobiera się z kategorii „kontrowersyjny”, co zapewnia show rozgłos w tabloidach. Potem wprowadza się kilka sympatycznych twarzy: aktor serialowy – znany z popularnej telenoweli, który przyciąga



26. edycja programu na pewno nie zaskoczy widzów

starszą widownię oraz artysta z lat 80. lub 90. – dawniej wielki gwiazdor, dziś często zapomniany, który dzięki programowi dostaje „drugą szansę”. A na koniec postać „nieoczywista” – polityk, youtuber lub ktoś z zupełnie innej branży, aby dodać „element zaskoczenia”. Ten powtarzający się schemat sprawia, że program traci na autentyczności.

Czy to jest konieczne?

Producenci „Tańca z gwiazdami” dobrze wiedzą, jak kierować emocjami widzów. Jury wygłasza teatralne komentarze, kamera wychwytuje łzy i momenty wzruszenia, a eliminacje często sprawiają wrażenie „szokujących”, choć w rzeczywistości łatwo przewidzieć, kto pożegna się z programem. Jeśli w danym odcinku odpada uczestnik uwielbiany przez publiczność, otrzymuje on długie,

„ Producenci „Tańca z gwiazdami” dobrze wiedzą, jak kierować emocjami widzów. Jury wygłasza teatralne komentarze, kamera wychwytuje łzy i momenty wzruszenia, a eliminacje często sprawiają wrażenie „szokujących”, choć w rzeczywistości łatwo przewidzieć, kto pożegna się z programem.

emocjonalne pożegnanie, podkreślone melancholijną muzyką. Nie brakuje również wątków miłosnych – niemal w trakcie emisji każdej z edycji pojawiają się plotki o rzekomych romanсах między tancerzami a uczestnikami. W rzeczywistości to często jedynie element marketingowej gry, mający zwiększyć oglądalność.

W polskiej telewizji króluje błysk, brokat i teatralność. „Taniec z gwiazdami” ocieka przesadnym blizkiem, intensywny makijaż, stroje na

granicy dobrego smaku. Show nie stawia na elegancję, lecz na efekciarstwo. „Twoja Twarz Brzmi Znajomo” również poszło w stronę przesady, a w programie bardziej liczy się charakterystyka niż faktyczne odwzorowanie artysty. Widzowie wydają się jednak coraz bardziej zmęczeni tym nadmiarem sztuczności. Popularność telewizyjnych show spada, a młodsza publiczność przenosi się do internetu, gdzie łatwiej znaleźć bardziej autentyczne i angażujące treści.

Czy kontrowersyjne postacie i kiczowatość są konieczne w programach rozrywkowych? Wydaje się, że dla producentów – tak. Przykładem jest Dagmara Kaźmierska z „Królowych życia”, która po przeszłości kryminalnej stała się gwiazdą telewizji. Jej udział w „Tańcu z gwiazdami” wywołał burzę, ale też zwiększył oglądalność show. Podobne mechanizmy stosuje się w „Twoja Twarz Brzmi Znajomo” czy „Hotel Paradise”, w których przerysowane osobowości budują popularność show. Choć kicz przyciąga uwagę, czy naprawdę nie da się stworzyć formatu, który byłby atrakcyjny bez tanich chwytów? Widzowie zasługują na więcej niż medialne prowokacje.

Nie tylko „Taniec z gwiazdami”

Schematyczność i przesyt kiczu dotyka większości polskich programów rozrywkowych. „Twoja Twarz Brzmi Znajomo” od lat powiela te same wzorce: celebryta, komik, kontrowersyjna postać, ktoś „zaskakujący”, czyli działa tak samo, jak większość formatów tego typu. Show, które miało być zabawnym widowiskiem, coraz częściej przypomina autoparodię. Charakterystyczne bywają przerysowane do granic karykatury, a oceny jury wydają się przesadnie entuzjastyczne niezależnie od poziomu występu. Podobnie wygląda sytuacja w „Mam Talent”. Co sezon pojawiają się te same motywy: wzruszająca historia uczestnika z małej miejscowości, niespodziewany talent osoby, która „nigdy wcześniej nie śpiewała” i oczywiście szokujące występy akrobatyczne. W reality show, takich jak „Love Island” czy „Hotel Paradise”, schemat jest równie powtarzalny. Każdy sezon to identyczna mieszanka: umięśnieni mężczyźni, influencerki w bikini, kilka ustawionych dramatów i przewidywalne konflikty. Brakuje spontaniczności i autentyczności – wszystko wydaje się podporządkowane pod wcześniej napisany scenariusz.

Czy polskie programy rozrywkowe mogą jeszcze ewoluować? Być może, ale wymagałoby to odwagi producentów. Powtarzalne formaty, przerysowane reakcje i sztucznie kreowane emocje dominują na rynku. Niektórzy widzowie oczekują czegoś więcej (a przynajmniej wypada mieć taką nadzieję) – autentycznych postaci, prawdziwej rywalizacji i show, które potrafi naprawdę zaskoczyć. Na razie jednak telewizja pozostaje zakładnikiem własnych schematów. „Taniec z gwiazdami” i inne programy wciąż przyciągają widzów, ale z każdym kolejnym sezonem coraz bardziej przypominają teatr z dobrze znanym scenariuszem. Pytanie brzmi: jak długo jeszcze publiczność będzie chciała oglądać te same historie? Może nadszedł czas, by zamiast kolejnego przewidywalnego show, postawić na nową jakość?



Mimo mnogości podobnych formatów, schemat pozostaje ten sam

Nieprosta historia Davida Lyncha

Określanie twórczości danego reżysera mianem jego „świata” nie jest niczym wyszukany. Do Davida Lyncha pasuje jednak idealnie. W swojej sztuce stale powracał do pewnych tematów, operował wysoce zindywidualizowanym językiem artystycznym i nieprzerwanie hołdował określonej filozofii. Nawet jego osobowość i atrybuty w postaci kawy i papierosów stały się elementem lynchowskiego uniwersum. Niestety, ten drugi z nich przyczynił się do rozedmy płuc, a w konsekwencji – śmierci artysty 16 stycznia.



Stan zdrowia reżysera pogorszył się po przeprowadzce z Los Angeles, wymuszonej pożarami

Źródło: fot. Alessandro Flickr.com

Twórczość Lyncha słynęła z ekscentryzmu, a sam reżyser najbardziej kojarzony był z surrealizmem. Często zastępował tradycyjną narrację strumieniem świadomości osadzonym na luźnej fabule lub eksplorował sny i projekcje umysłów bohaterów. Tylko cztery z jego dziesięciu pełnometrażowych filmów wpisują się w ten schemat. Na pograniczu „dziwności” i klarowności znajduje się Twin Peaks: Ogniu krocz ze mną, podczas gdy inne dzieła Lyncha opowiadają spójne, uporządkowane historie. Mimo to jego podejście do narracji, obrazu i konwencji gatunkowych zawsze było wyjątkowe. Nie podążał za trendami – to on kilkakrotnie wpływał na historię kina. Robił to zapewne mimochodem, skupiając się przede wszystkim na realizacji własnej wizji i przekazywaniu idei, z których budował swoje niezwykle opowieści.

Jego strategię artystyczną można zawrzeć w dwóch zasadniczych słowach: „pomysł” i „intuicja”. Te pierwsze określał jako podstawę swojej sztuki. Porównywał je do wędkowania, odnajdując w tej analogii rozmaite paralele – w tym tę, iż pomysły wylapywał ze swojej głowy, a nie wymyślał. Zamiast szukania symboli dla wyrażenia określonej treści, Lynch szukał sensu w symbolu, jaki właśnie go nawiedził. Reżyser zachowywał oniryczny, enigmatyczny, oddziałujący na emocje charakter swoich wizji, ale i doskonale układał je w całość. Analiza „Mulholland Drive” i „Zagubionej Autostrady” pozwala dostrzec jak skrupulatnie i inteligentnie potrafiły być konstrukcje jego scenariuszy. Nie bez przyczyny doczekał się on tak wielu analiz i interpretacji. Ob-

” Swoją filozofię twórczą praktykował nie tylko w filmie. Był istnym człowiekiem renesansu – oprócz kina zajmował się malarstwem, fotografią, litografią, muzyką, a nawet produkcją mebli.

szymych wywodów, o które aż się prosiło, mimo, że sam Lynch był w stosunku do nich nieco sceptyczny. Nie chodzi o błędne dekodowanie przekazu – przeciwnie, reżyser domyślnie pozostawiał odbiorcy swobodę oraz możliwość indywidualnego przeżycia i zinterpretowania seansu. Akcentował jednak wagę intuicji, którą rozumiał jako poczucie pojęcia sensu, przy niemożności jego wyartykułowania, możliwym w trakcie obcowania z dziełem. Uważał, że kino świetnie mówi o abstrakcjach, a języka filmu nie da się przełożyć na język mówiony.

Artysta totalny

Swoją filozofię twórczą praktykował nie tylko w filmie. Był istnym człowiekiem renesansu – oprócz kina zajmował się malarstwem, fotografią, litografią, muzyką, a nawet produkcją mebli. Malarstwo studiował jeszcze przed zainteresowaniem karierą reżysera, a bezpośrednim katalizatorem zwrócenia się w stronę kina miał być widok obrazu poruszanego przez wiatr. W jego głowie zakiełkowała wizja, którą pierwszym projektem zrealizował całkiem dosłownie – „Sześciu mężczyzn, który robi się niedobrze” to zaanimo-

wany obraz. Już na etapie debiutanckiego pełnego metrażu – „Głowy do wycierania”, doskonale opanował język kina na różnych poziomach. Jako scenarzysta i reżyser – zaprezentował oryginalną wizję surrealizmu, którego w przyszłości miał stać się wyznacznikiem. Dziwność budował nie tylko poprzez elementy bezpośrednio fantastyczne, ale i nienaturalne dialogi oraz zachowania postaci. Efektu dopełniała klaustrofobiczna atmosfera, zdjęcia popadające w tenebryzm i warstwa dźwiękowa skupiona wokół szumu, wiatru, przeciągłego basu i innych efektów wytrącających ze sfery komfortu. Od razu dały też o sobie dać znać dwie wielkie inspiracje artysty – Franz Kafka, którego kafkowskie sytuacje miały dopadać niejednego lynchowskiego bohatera i Francis Bacon – którego malarstwo skłaniało Lyncha do wewnętrznego, indywidualnego dialogu między nim, a obrazem. Taki sam efekt chciał uzyskać w swojej sztuce.

Kontekst biograficzny naświetla w przypadku „Głowy do wycierania” irracjonalne podejście Lyncha. Artysta poświęcał projektowi maksymalną uwagę, część budżetu pokrywał zarobionymi pieniędzmi, w momencie,

w którym życie jego rodziny nie było ustabilizowane – co skończyło się zresztą rozwodem. Tak wiele wysiłku wkładał w film, który nie sprawiał wrażenia przepisu na sukces – wzbudzający u widza dyskomfort i w każdym calu eksperymentalny. Atmosfera dzieła była refleksem epizodycznej przeprowadzki reżysera do Filadelfii. Chociaż później demaskował małomiasteczkową idyllę, jako kryjącą zepsucie – dzieciństwo w takim otoczeniu wspominał szczęśliwie. Filadelfia musiała być tym większym wstrząsem. Początkowa fascynacja industrialnym krajobrazem szybko ustąpiła lękowi, związanemu z przestępczością, przemocą i biedą.

„Głowa do wycierania” zyskała popularność dzięki pokazom midnight movies i nieoczekiwanie przyciągnęła uwagę Mela Brooksa. Mistrz parodii zaproponował Lynchowi reżyserię „Człowieka Słonia”. Poruszająca opowieść, wzbogacona „lynchowskimi” elementami, wniosła go do mainstreamu, a George Lucas zaproponował mu nawet „Powrót Jedi”. Brooks, pytany o brak eksponowania swojego producentycznego wkładu, stwierdził, że jego nazwisko kojarzy się z komedią. Łączyło go z Lynchem jedno – priorytetem było dla nich dobro kina.

Wizjoner

W toku dalszej kariery – Lynch okazał się jednym z prekursorów filmowego postmodernizmu. „Blue Velvet” nawiązując do kina noir zaofero-

wało intrygę... przeciętną. Jako „detektywa” umieściło jednak zwykłego chłopaka, którego ekscytuje uczestnictwo w wielkim śledztwie. Ponadto, film pozwala odczytywać się jako metaforę kinowego seansu, albo eksplorację freudowskiego id, ego i superego, utraty niewinności, seksualnych dewiacji i ich przyczyn, granicy między miłością, a pożądaniem.

Prawdopodobnie największym arcydziełem reżysera stało się natomiast „Mulholland Drive”. To film, w którym niemalże każdy aspekt można dogłębnie analizować i wykazywać jego wielkość – od scenariusza, tyleż onirycznego i tajemniczego, co niezwykle inteligentnego i zmyślnego, przez bogactwo treści i pomysłów, przepiękną realizację poszczególnych scen – takich jak ta w klubie „Silencio”, po wybitną kreację Naomi Watts.

Oprócz dużego ekranu, Lynch wniósł również spory wkład w rozwój telewizji. „Miasteczko Twin Peaks” pokazało, że serial może być sztuką równorzędną kinu. Pionierstwo miało jednak swoją cenę – ABC wymusiło przedwczesne rozwiązanie tajemnicy śmierci Laury Palmer, a twórcy odsunęli się od projektu, ze szkodą dla jego jakości. Lynch powrócił dopiero na odcinek finałowy, a później podtrzymał żywotność uniwersum filmem kinowym i zrealizowanym po 25 latach 3. sezonem.

W swojej działalności Lynch powracał niejednokrotnie do interesujących go tematów – na różnych poziomach eksplorował dualizm, zamieszczał sceny, w których piosenka obnaża najgłębsze emocje bohaterów, zainspirowany obrazem drzewa, drążonego od wewnątrz przez mrówki pokazywał mrok pod piękną fasadą – czego antytezą zdaje się John Merrick z „Człowieka Słonia”. Szczególnie interesujące okazują się także narracje „Zagubionej Autostrady” i „Mulholland Drive” – badające granicę między fikcją, a rzeczywistością. To kino psychologiczne, interpretowane nawet w oparciu o teorię Junga, ale zamiast chłodnej nauki – Lynch oferuje wgląd kolejno w fugę dysocjacyjną i sen. Przedstawia bohaterów uciekających od samych siebie, niechętnych do konfrontacji z prawdą, projektujących alternatywne tożsamości. Ucieczka w projekcje umysłu sprawia jednak, że konfrontacja z rzeczywistością jest tym bardziej dotkliwa.

Teraz powinna pojawić się puenta. Pozostawię jednak ten tekst w zawieszaniu, nie dopisując tu ostatniej kropki. Tak jak i twórczość Lyncha to niezgłębiona tajemnica, która ciągle rozpala wyobraźnię i nie pozwala zamknąć się w jednej konkretnej interpretacji „co autor miał na myśli”. Autor, który w każdym aspekcie swojej działalności był indywidualnością jedyną w swoim rodzaju.

Aleksander GRĘDA

Gramofon koroduje

Tegoroczna gala Grammy przyniosła historyczne momenty, ale pominięcie Billie Eilish i Charli XCX w głównej kategorii wywołało największe emocje. Ich albumy „Hit Me Hard and Soft” i „BRAT”, mimo świetnych recenzji nie zdobyły nagrody za „Album of the Year”, którą otrzymała Beyoncé. Decyzja ta wzbudziła pytania o kryteria oceny. Grammy uchodzą za najważniejsze wyróżnienie w muzyce, ale czy rzeczywiście liczy się talent i wartość artystyczna?

Tegoroczna ceremonia Grammy obfitowała w znaczące osiągnięcia i wyjątkowe momenty. Kendrick Lamar zdobył pięć nagród, w tym „Song of the Year” i „Record of the Year” za utwór „Not Like Us”, a Beyoncé została pierwszą czarnoskórą artystką, która otrzymała nagrodę za „Best Country Album”. Wśród laureatów znaleźli się także Chappell Roan, uhonorowana tytułem „Best New Artist” oraz Doechii, która zapisała się w historii Grammy jako trzecia kobieta wyróżniona w kategorii „Best Rap Album”. Niemniej jednak decyzja Akademii o pominięciu Billie Eilish i Charli XCX w głównej kategorii wywołała szerokie dyskusje.

Łzy Billie Eilish

Kiedy ogłoszono, że nagrodę w kategorii „Album of the Year” za „Cowboy Carter” zdobyła Beyoncé, kamery uchwyciły twarz Billie Eilish – pełną bólu i rozczarowania. Artystka, która kilka lat wcześniej triumfowała w tej kategorii, tym razem musiała pogodzić się z przegraną. „To miała być jej nagroda. »Hit Me Hard and Soft« to jej najbardziej osobisty album, zawsze mówiła o nim z ogromną miłością. To był dla niej wielki krok naprzód. Wydawało się, że tym razem po raz pierwszy szczerze wierzyła, że na nią zasługuje.” – powiedziała Maryna Rubay, badaczka biografii Eilish.

Billie Eilish wierzyła w swoje zwycięstwo, ponieważ albumy, które rywalizowały z „Cowboy Carter” o statuetkę, takie jak „BRAT” i „Hit Me Hard and Soft”, wpisywały się w trend rewolucyjnych i eksperymentalnych płyt. Jeśli przyjrzemy się zwycięzcom w kategorii „Album of the Year” w poprzednich latach, zauważymy, że często były to albumy, które miały realny wpływ na muzykę i inspirowały innych artystów.

A jak wypada „Cowboy Carter” na tym tle? Płyta Beyoncé to udany eksperyment odkrywający nowe brzmienie w twórczości artystki, jednak jej wpływ na przemysł muzyczny jest



Billie Eilish jest jedną z najpopularniejszych piosenek młodego pokolenia

„Śmiałość zawsze jest wynagradzana, bo to właśnie ona popycha wszystko do przodu. W przypadku „Cowboy Carter” mamy do czynienia z odważną próbą stworzenia czegoś nowego i nawet jeśli efekt nie jest od razu rewolucyjny, to daje nadzieję na dalszy rozwój i stanowi inspirację dla innych artystów.

obecnie niemal niezauważalny. To była rewolucja, ale przede wszystkim dla samej piosenkarki. Mimo prób połączenia country z własnym stylem, gatunek ten nie stał się dominującym nurtem w muzyce popularnej. Country nie zyskało szerokiego

odbioru w mainstreamie, a wpływ albumu na branżę nie okazał się aż tak przełomowy, jak początkowo oczekiwano.

To właśnie ten kontrast napędza niekończące się dyskusje wśród fanów. W przypadku innych nominowanych al-

bumów łatwo dostrzec ich eksperymentalność, wpływ na kulturę w skali globalnej: „BRAT” ukształtował zjawisko „brat summer”, „Hit Me Hard and Soft” pokazał osobistą historię, wprowadził nowe podejście do harmonii wokalnych i zaprezentował wybitne połączenie muzyki orkiestralnej z popowym brzmieniem. Tymczasem „Cowboy Carter”, mimo gigantycznego znaczenia dla kariery Beyoncé, ani nie zmienił w wyraźny sposób krajobrazu muzycznego ani nie zrewolucjonizował gatunku country.

Co ciekawe, nawet Beyoncé wydawała się zaskoczona swoim zwycięstwem. Była nominowana do tej na-

grody już czterokrotnie, ale nigdy wcześniej jej nie wygrała. To sprawia, że decyzja Akademii budzi jeszcze większe kontrowersje – czy to faktyczna ocena wartości artystycznej, czy raczej próba naprawienia wieloletnich zaniedbań wobec artystki?

Nagrody czy tylko Biznes?

To wszystko prowadzi do coraz głośniejszych spekulacji na temat decyzji Akademii. Ze strony różnych krytyków od dawna zarzuca się jury, że „wysysają krew” z artystów nominowanych do głównych kategorii, jednocześnie nagradzając tych, którzy są dla niej korzystniejsi.

Wśród fanów czasami pojawia się opinia, że wybory jury coraz mniej mają wspólnego z rzeczywistością jakością muzyki, a coraz więcej z biznesem. Niektórzy artyści wprost wskazują, że decyzje Akademii mogą być motywowane czynnikami komercyjnymi – promocją wybranych gwiazd, które bardziej „pasują” do NARAS.

Przypadek z tego roku nie jest odosobniony. Warto przypomnieć sytuację sprzed lat, gdy Eminem w wywiadzie w 2018 roku dla Swaya Callowaya wprost oskarżył Grammy o manipulowanie wynikami: „Niech już nigdy nie proszą mnie, żebym tam przyszedł. Każdego roku robią to samo – nominują artystów, przyciągają ich na galę, po czym dają nagrody komuś, kto nie miał dużego wpływu na muzykę i kulturę. Mam dość.”

Dodał też: „To głosowanie jest totalnie fałszywe. To nie jest prawdziwe głosowanie. Nagrody dostają ci, którym chcą je dać. Akademia nagradza swoich faworytów.”

Zasłużona nagroda?

Tym razem rozczarowanie fanów nie przerodziło się w protesty.

— Fani Billie rzeczywiście hejtowali Beyoncé, ale nie poza tym. Żadnych protestów przeciwko Grammy – skomentowała Maryna Rubay.

Decyzja Akademii o przyznaniu nagrody Beyoncé w kategorii „Album of the Year” może budzić kontrowersje, ale być może w tym przypadku jest ona uzasadniona. Choć może „Cowboy Carter” nie rewolucjonizuje świat muzyki w taki sposób, jak inne nominowane albumy, to jednak wciąż jest śmiałym krokiem w karierze artystki.

Śmiałość zawsze jest wynagradzana, bo to właśnie ona popycha wszystko do przodu. W przypadku „Cowboy Carter” mamy do czynienia z odważną próbą stworzenia czegoś nowego i nawet jeśli efekt nie jest od razu rewolucyjny, to daje nadzieję na dalszy rozwój i stanowi inspirację dla innych artystów. Może to właśnie ta śmiałość by sięgać po nowe gatunki i brzmienia sprawia, że nagroda ta jest w pełni zasłużona.



Nagrody Grammy co roku przyciągają uwagę komentatorów i fanów gwiazd

Serhii KHODIEIEV

Weryfikacja amerykańskiego snu

Opowieść o architekturze, trudach emigracji i wojennej traumie. „The Brutalist” w reżyserii Brady’ego Corbeta zaskakuje rozmachem oraz odważnymi wątkami. Czy to zasłużony zdobywca Oscarów? Czy jest to „Oppenheimer” 2025 roku? Przyjrzyjmy się dziełu, które ambitnie przeprowadza nas przez trudne losy wybitnej jednostki.

Druga wojna światowa właśnie się zakończyła, ale dla László Tóth (Adrien Brody) nie oznaczało to radosnego „i żył długo i szczęśliwie”. Dla niego to początek kolejnego etapu w życiu. Węgierski architekt żydowskiego pochodzenia nie ma przyszłości w Europie. Mężczyzna decyduje się na emigrację do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie zostaje ciepło przyjęty przez swojego kuzyna. Krewny daje mu pracę oraz dach nad głową. Ponadto okazuje się, że żona Tótha żyje i wkrótce ma do niego dołączyć wraz z jego siostrzenicą. Zapowiada się na to, że László ułoży sobie życie na nowo. Niestety, ale amerykański sen szybko rozplywa się po zderzeniu z ponurą rzeczywistością, a ponowne spotkanie małżonków jest wciąż oddalane w czasie z powodu problemów z biurokracją. To wszystko jest tylko samym początkiem ponad trzygodzinnej, wielowątkowej historii pełnej ludzkich dramatów.

„The Brutalist” jest filmem wyjątkowo ambitnym. Stawia sobie za cel zaprezentowanie się widzom jako artystyczne dzieło z rozmachem. Zaskakuje dużą liczbą wątków, lokalizacji oraz charakterystycznych postaci. W dodatku jest to produkcja bardzo odważna. Reżyser nie boi się pokazywać nagości, cierpienia oraz trudów życia powojennych imigrantów w USA. Widoczna jest tutaj mocna krytyka wizji amerykańskiego snu prezentowanego przez kulturę tamtej epoki.

W wyniku pewnych wydarzeń architekt znajduje się w trudnej sytuacji finansowej. Zmuszony jest do spania w noclegowniach dla bezdomnych, spożywania posiłków rozdawanych najuboższym przez kościół i podjęcia się ciężkiej pracy fizycznej. Wszystko zmienia się, gdy zamożny przemysłowiec Harrison Lee Van Buren (Guy Pearce) zleca mu zaprojektowanie i wybudowanie imponującego swoim rozmiarem centrum kulturalno-religijnego dla lokalnej społeczności. Przez resztę



Główną rolę w filmie zagrał Adrien Brody

” Nawet w najlepszych filmach znajdują się elementy godne krytyki lub budzące kontrowersje. Nie inaczej jest w przypadku „The Brutalist”, któremu jak najbardziej można zarzucić kilka kwestii. Pierwsza na myśl przychodzi długość. Ponad trzygodzinny seans z pewnością nie jest dla każdego, chociaż warto jednak zauważyć, że mniej więcej w połowie znajduje się wbudowana w produkcję 15-minutowa przerwa.

filmu budowa obiektu oraz relacja pomiędzy architektem a zleceniodawcą stanowią kluczowy element fabuły. Można nawet powiedzieć, że jest to jej fundament i szkielet. Guy Pearce bezbłędnie wcielił się w

rolę doskonałego napisanego milionera, który wielokrotnie zaskakuje. Niemal do samego końca trudno widzowi jednoznacznie ocenić tego bohatera. Mówiąc o grze aktorskiej, nie sposób pominąć też świetnej

pracy ze strony wcielającego się w tytułowego brutalistę Adriana Brody’ego. Słusznie otrzymał on Oscara w kategorii najlepszy aktor pierwszoplanowy.

Nie bez znaczenia w „The Brutalist” pozostaje też muzyka, którą docenili krytycy. Utwory skomponowane przez Daniela Blumberga doskonale wpasowują się w montaż oraz przedstawioną w filmie scenografię. Pod względem audiowizualnym jest to po prostu piękny film.

„The Brutalist” czasami był porównywany do głośnego „Oppenheimera” z 2023 roku. Rozumiem skąd to porównanie, ale niekoniecz-

nie się z nim zgadzam. Owszem, obie produkcje są wielokrotnie nagradzanymi dramataми historycznymi o ponad trzygodzinnym czasie trwania. Jednakże „The Brutalist” jest filmem o wiele wolniejszym i mniej nastawionym na masowego odbiorcę. W dodatku sam László Tóth nie jest postacią historyczną, a jedynie jest inspirowany doświadczeniami kilku rzeczywistych ludzi. Nie należy od tej produkcji oczekiwać bycia drugim „Oppenheimerem”, ale zdecydowanie jest ona równie godna polecenia.

Warto jeszcze zauważyć obecny niemal bez przerwy wątek przeżywania traumy. László próbuje zrobić to nie tylko poprzez pracę architekta, ale też poza nią. Podejmuje po drodze wybory niekoniecznie słuszne, często autodestrukcyjne. To właśnie z tego powodu, poza rozczarowaniem z życia w USA, wynika większość wstrząsających scen. Dodatkowo reżyser poświęca czas ekranowy na ukazanie cierpienia także u Erzsébet, żony głównego bohatera oraz jego siostrzenicy Zsófi.

Nawet w najlepszych filmach znajdują się elementy godne krytyki lub budzące kontrowersje. Nie inaczej jest w przypadku „The Brutalist”, któremu jak najbardziej można zarzucić kilka kwestii. Pierwsza na myśl przychodzi długość. Ponad trzygodzinny seans z pewnością nie jest dla każdego, chociaż warto jednak zauważyć, że mniej więcej w połowie znajduje się wbudowana w produkcję 15-minutowa przerwa. Z pewnością jest to bardzo dobre rozwiązanie.

O wiele poważniejszą kontrowersją jest natomiast wykorzystanie AI przy produkcji filmu. Twórcy sami się do tego przyznają, podkreślając jednak, że została ona użyta wyłącznie w montażu dialogów w języku węgierskim. Celem było poprawienie akcentów i wymowy. Reżyser demuntuje plotki o wykorzystaniu sztucznej inteligencji do stworzenia budynków czy grafik. Moim zdaniem jest to akceptowalne wykorzystanie nowych technologii. Etyczne użycie wynalazku, od którego już nie uciekniemy we współczesnym kinie.

„The Brutalist” to wyjątkowa produkcja, której sprawnie udało się połączyć wątki związane z II wojną światową, realiami powojennej emigracji oraz architektury. Film wydaje się momentami dziełem nieco za długim, może trochę przytłaczającym liczbą przedstawianych wydarzeń, ale nadrabia za sprawą barwnych postaci oraz własnego piękna audiowizualnego. Robi wrażenie, tym bardziej że twórcy osiągnęli to wszystko w budżecie wynoszącym zaledwie dziesięć milionów dolarów.



Architektura brutalistyczna rozpowszechniła się w USA po II Wojnie Światowej.

Jakub SARNOWSKI

Gra, która wyprzedziła swoje czasy

Już 13 kwietnia na ekrany powróci drugi sezon hitowego serialu „The Last of Us”, opartego na kultowych grach studia Naughty Dog. Pierwowzór dzieła zadebiutował niemal 12 lat temu jako ekskluzywna produkcja na PlayStation 3. Mimo upływu lat gra pozostaje niezwykle grywalna, a jej oryginalna wersja imponowała technologicznym zaawansowaniem, wyprzedzając swoje czasy. Ogromny sukces serialu jedynie potwierdza wyjątkowość i jakość opowiedzianej w niej historii.



The Last of Us jest jedną z najbardziej kultowych gier w historii

Przeżywanie tej fabuły to przyjemne doświadczenie. Interfejs jest przejrzysty, czytelny, a mechaniki występujące w grze w żadnym stopniu nie sprawiają wrażenia przestarzałych czy złych rozwiązań. Produkcja jest na ogół intuicyjna, a sekwencje wymagające większego przemyślenia dość proste, lecz zdarzały się lokacje, w których na dłuższą chwilę udało mi się utknąć, nie wiedząc, co zrobić w następnym kroku.

w tętniących życiem miastach, każdy z bohaterów czymś się wyróżnia. Najbardziej zapadł mi w pamięć brat Joela – Tommy. Do zjednoczenia rodzeństwa dochodzi niespodziewanie i po długiej rozłące, a jednak jesteśmy w stanie zaobserwować wyjątkowo silną więź między mężczyznami. Twórcom udało się celnie oddać silne uczucia, jakimi się darzą. Takich losowych spotkań jest w „The Last of Us” znacznie więcej. Podczas rozgrywki ani przez chwilę nie miałem wrażenia,

że jakaś postać została wprowadzona na siłę – każda z nich ma swoje miejsce w historii, a całość jest spójna i dopracowana w najmniejszych detalach.

Przeżywanie tej fabuły to przyjemne doświadczenie. Interfejs jest przejrzysty, czytelny, a mechaniki występujące w grze w żadnym stopniu nie sprawiają wrażenia przestarzałych czy złych rozwiązań. Produkcja jest na ogół intuicyjna, a sekwencje wymagające większego przemyślenia dość proste, lecz zdarzały

się lokacje, w których na dłuższą chwilę udało mi się utknąć, nie wiedząc, co zrobić w następnym kroku. Model strzelania stworzony jest solidnie, do naszej dyspozycji dostępne jest kilka rodzajów broni, z czego każdą mamy możliwość ulepszyć w wyznaczonych miejscach. Zdarza się tak, że wrogowie stanowią większe zagrożenie, szczególnie kiedy walczymy z dużą grupą zombie lub z ludźmi również posługującymi się bronią. W trudnych sytuacjach mogą pomóc nam dodatkowe elementy takie jak cegły odwracające uwagę wrogów czy granaty, które gracz ma możliwość wytworzyć przy pomocy przedmiotów znalezionych podczas eksploracji. Poza otwartą walką gra umożliwia walkę z ukrycia. Wysoka trawa, cichy łuk i umiejętność walki wręcz Joela i Ellie sprawiają, że jest to świetne rozwiązanie pozwalające zaoszczędzić nerwów i amunicji. A zarządzanie tą drugą jest istotną częścią

rozgrywki, która ma w sobie po mniejsze elementy survival horroru, takie jak przykładowo znacząco ograniczona liczba zasobów nie tylko do walki, ale również do leczenia. Wymusza to na graczu walkę w umiejętny sposób i dokładniejszą eksplorację każdego zakamarka.

Grafika w „The Last of Us” to zdecydowanie ten czynnik, który sprawił, że dzieło zostało uznane za wyprzedzające swoje czasy. Była to zdecydowanie najpiękniejsza gra, którą wydano na siódmą generację konsol. Szczegółowe modele, niespotykane wcześniej efekty, i szary, lecz bardzo dopracowany świat zapierały dech w piersiach, ponieważ nie zdawano sobie sprawy, że konsola PS3 jest w stanie osiągnąć taką jakość bez rażących błędów graficznych, nawet dzisiaj, biorąc pod uwagę ograniczenia technologiczne, z jakimi w tamtym czasie musieli zmagać się twórcy. Naughty Dog zaledwie rok później zrealizowało także remaster na PS4, który tylko ulepszał wcześniejsze piękno produkcji. W 2022 roku wyprodukowano remake gry na PS5, którego wizualne aspekty ponownie zwalają z nóg. Wszystko wygląda jeszcze lepiej, gdyż nie jest to tylko ulepszona grafika oryginału, a zbudowana od zera, wykorzystująca najnowsze technologie.

„The Last of Us” jest dziełem ponadczasowym, którego fabuła wywołuje niezapomniane emocje. Rozgrywka zapewni świetną zabawę, a grafika potrafi nacieszyć oko. Mimo swoich lat dzieło nie wydaje się przestarzałe, a odnowione wersje gry zasłużenie wydłużają tylko jej życie w sercach graczy. Zdecydowanie polecam każdemu przeżyć to doświadczenie osobiście przed premierą drugiego sezonu serialu. Bez znaczenia, czy grając na najnowszej generacji, czy na tej starszej, produkcja w każdym wypadku jest cudowna i niepowtarzalna.

Bartosz DWORCZAK



Fabuła wrzuca gracza do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie wybuchła epidemia grzyba, który poprzez swoje zarodniki zmienia ludzi w chodzące i agresywne trupy. Wcielamy się w Joela – mężczyznę w średnim wieku, który próbuje uratować córkę i wydostać ją z miasta opanowanego przez zakażonych. Niestety, nie udaje mu się jej uratować i dziecko ginie. Po 20 latach życia w postapokaliptycznym, opanowanym przez chorobę świecie, bohater otrzymuje zlecenie przemytu 14-letniej dziewczyny – Ellie.

Fabuła gry opiera się na wspólnej podróży i skomplikowanej relacji tej dwójki. Towarzyszą im silne emocje, a ich dynamicznie ewoluująca więź początkowo opiera się na dystansie – traktują siebie jedynie jako część misji. Z czasem jednak Ellie staje się dla Joela kimś więcej, w pewnym sensie zastępując mu utraconą córkę, a on nie chce się z nią rozstawać. To wszystko ukazane jest w pełen emocji, chwytający za serce sposób. Grając w tę produkcję, uczucia skomplikowanych i głębokich postaci, z jakimi mamy do czynienia, wręcz wylewają się z ekranu. W tym pełnym strachu, potworów i pustki świecie bohaterowie pozostają prawdziwymi ludźmi – mają swoje własne, wewnętrzne problemy, które nie znikają nawet w obliczu apokalipsy.

Niestety, Joel musi nie tylko walczyć z zakażonymi, ale także zabijać ludzi należących do wrogich frakcji, aby wykonać swoją misję. Zagrożeniem nie są więc jedynie zombie. Podczas rozgrywki napotykamy różne postacie poboczne, niektóre okazują się pomocne, inne stanowią śmiertelne zagrożenie. Choć protagoniści nie spotykają ich tak wielu, jak w grach osadzonych

Ostatnio w świecie sportu upowszechniło się pojęcie „sportswashingu”. Są to działania podejmowane np. przez organizacje lub państwa w celu poprawy swojej reputacji, poprzez zaangażowanie się w sport. Szczególnie aktywnie w tym obszarze działa Arabia Saudyjska.

Stwierdzenie „nie mieszajmy sportu z polityką” odznacza się wyjątkową naiwnością – sport można bowiem wykorzystać jako potężne narzędzie polityczne. Doskonale rozumieją to chociażby rządy państw, mające na swoim koncie poważne przewinienia. Najbardziej koronnymi przykładami „sportswashingu” w skali globalnej w ostatnich latach były np.: Mistrzostwa Świata w Rosji (2018) i Katarze (2022) czy też Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Pekinie (2022). Wymienione państwa, delikatnie mówiąc, nie kojarzą się z pełną swobodą praw człowieka czy kultywowaniem ideałów demokracji. Poprzez organizację wielkich sportowych imprez, skupiających uwagę całego świata, państwa te w łatwy sposób mogły poprawić swój wizerunek, ukazując oblicze dobrych gospodarzy. Do tego grona w 2024 roku dołączy Arabia Saudyjska, jako organizator najbardziej prestiżowej piłkarskiej imprezy, czyli Mistrzostw Świata. Pomimo że decyzja z grudnia ubiegłego roku wywołała słuszne oburzenie, to niestety można było się jej spodziewać.

Zarzuty w stronę Arabii

Od 1932 roku kraj ten jest monarchią absolutną, w której władze sprawuje dynastia Saudów. Zarzuca się jej łamanie praw człowieka, ograniczanie wolności słowa, tortury na więźniach, nierespektowanie praw mniejszości seksualnych czy też wyznaniowych oraz łamanie praw kobiet. Wraz z próbą dalszej ekspansji rodzina królewska doszła do wniosku, że wizerunek zarządzanego przez nią państwa należy podreperować... przynajmniej w zewnętrznym przekazie. Dowodem na to jest rządowa inicjatywa „Vision 2030”, ogłoszona w kwietniu 2016 roku. Odpowiada za nią Mohammed bin Salman, premier Królestwa, a także następca tronu. Celem programu jest „osiągnięcie zwięk-

Saudyjskie umywanie rąk



Mohammed bin Salman odpowiada za kreowanie lepszego wizerunku swojego kraju

szej dywersyfikacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej kraju”. W ramach Projektu realizowane są liczne inwestycje budowlane i gospodarcze, które mają na celu stymulowanie rozwoju lokalnych sektorów usług, sportu, nauki oraz turystyki. Te dziedziny miałyby stać się stabilnymi źródłami dochodu dla Królestwa w przypadku wyczerpania posiadanych rezerw ropy. Program ten zgodnie z wizją rodziny królewskiej dotyczy więc ogólnego rozwoju państwa. Jednym z jego elementów ma być sport. Koronnym przykładem zaangażowania Saudyjczyków w tę dziedzinę życia jest działalność w piłce nożnej.

Dobijają się drzwiami i oknami

Za moment przełomowy w popularności saudyjskiej piłki należy uznać transfer Cristiano Ronaldo do Al-Nassr w grudniu 2022 roku. Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że potencjał marketingowy i ambasadorski Portugalczyka dla zarówno ligi, jak i kraju jest kolosalny. Oczywiście nie wywróciło to świata futbolu do góry nogami. Natomiast na Ronaldo Sau-

“Mundial, który odbędzie się dopiero za dziewięć lat, można więc uznać za uświetnienie saudyjskich starań w świecie sportu. Nie ma wątpliwości, że będzie on wymarzoną okazją, by rodzina królewska pokazała pozytywne oblicze swojego kraju i zademonstrowała jego siłę. Mówimy o tak długim z dzisiejszej perspektywy okresie, że do czego czasu wiele może się zmienić.

dyjczycy nie poprzestali. Przez Saudi Pro League przewinęli się bowiem już tacy piłkarze, jak: Neymar, Sadio Mane, Karim Benzema, Riyad Mahrez, N'Golo Kante. Ofensywa transferowa i sprowadzanie gwiazd z europejskich klubów niewątpliwie zwiększyło popularność ligi. Ponadto od 2019 roku (z przerwą na 2020 i 2021) w Arabii Saudyjskiej rozgrywany jest Superpuchar Włoch, od 2023 roku przeprowadzany w formacie czterozespołowym (półfinały i finał). Podobnie sprawa się ma w przypadku Superpucharu Hiszpanii, który odbywa się w państwie Półwyspu Arabskiego od 2020 roku

(wyjątek w 2021), również z udziałem czterech zespołów. Co więcej, obowiązujący do 2029 roku kontrakt według doniesień medialnych może zostać przedłużony nawet do 2034 roku. Saudyjczycy poza sprowadzaniem do siebie atrakcyjnych piłkarskich nazwisk, postawili więc też na organizowanie rozgrywek z udziałem prestiżowych ekip.

W październiku 2021 roku Publiczny Fundusz Inwestycyjny nabył 80% udziałów w angielskim klubie piłkarskim Newcastle United za 300 milionów funtów. Kontrowersje związane z tą transakcją dotyczą wspomnianego już Mohammeda

bin Salmana, który został oskarżony o zlecenie zabójstwa Jamala Khashoggi, dziennikarza krytykującego saudyjski rząd. Co jednak następca tronu ma wspólnego z tym zakupem? Otóż Publiczny Fundusz Inwestycyjny należy do Arabii Saudyjskiej, a pieczę nad nim sprawuje właśnie bin Salman. Pod wodzą nowych właścicieli „Sroki” przebiły się do szerokiej czołówki Premier League, uznawanej za najbardziej prestiżową i najlepszą ligę piłkarską na świecie. Drużyna z tak wymiernymi sukcesami to kolejny łatwy kanał do promocji dla państwa z Półwyspu Arabskiego.

Paliwo napędowe

Nie samą piłką jednak Saudyjczycy żyją. Skala ich zaangażowania w sport jest naprawdę ogromna. Od 2021 roku w kraju tym odbywają się wyścigi Formuły 1. Od 2024 roku stolica państwa, Rijad, jest areną zmagania WTA Finals, czyli turnieju wieńczącego sezon dla najlepszych tenisistek w danym roku. Od 2022 roku odbywają się z kolei rozgrywki LIV Golf League, sponsorowane przez... Public Investment Fund. Jak możemy przeczytać na stronie „BogiGolf. Blog gol-fowy” – pula nagród za zmagania w LIV Golf w sezonie 2021/22 wyniosła 255 milionów dolarów za zaledwie osiem turniejów. PGA Tour oferowało wówczas łącznie 427 milionów dolarów, ale za aż 48 występów. Łatwo więc dostrzec strategię angażowania się przez Saudyjczyków w sporty generujące olbrzymie zainteresowanie widzów.

Mundial, który odbędzie się dopiero za dziewięć lat, można więc uznać za uświetnienie saudyjskich starań w świecie sportu. Nie ma wątpliwości, że będzie on wymarzoną okazją, by rodzina królewska pokazała pozytywne oblicze swojego kraju i zademonstrowała jego siłę. Mówimy o tak długim z dzisiejszej perspektywy okresie, że do czego czasu wiele może się zmienić. Być może w 2034 roku znajdziemy się w zupełnie innej rzeczywistości i najważniejsze sportowe zmagania rozgrywane w Arabii Saudyjskiej już nikogo nie będą zaskakiwać. Niezależnie od tego, jak potoczy się dalsza ekspansja tego państwa, jest to smutny dowód na to, że sport jako narzędzie polityczne może być wykorzystywany nie tylko w słusznych i szlachetnych celach.

Igor DZIEDZIC

